



DATA WYDANIA 23.03.2011 R.

## WSTĘPNIAK

Nadszedł w końcu czas wzmożonej nauki. Zarówno dla maturzystów, jak i dla „zwykłych” uczniów. Pogoń za ocenami, sprzeczki z nauczycielami, szkolne problemy – to teraz Wasz chleb powszedni. A my – czyli Henry News – jesteśmy po to, aby Wam ten trudny czas uprzyjemnić:)

Numer jak zwykle zaczynamy działem „Z życia szkoły”, a w nim wywiad z jednym z nauczycieli naszej szkoły – sorem Tomaszem Lubelskim. Dalej „Feliety”, później całkiem obszerny w tym wydaniu dział „Recenzje”, a na koniec też całkiem duży kącik „Twórczości Własnej”.

(Oby) miłego czytania!

Redaktor naczelny,  
Krzysztof Konstantinow

# W tym numerze

Wstępniak 1

## Z życia szkoły

Wywiad z sorem Lubelskim 3-5  
Walentynki –  
komercja czy święto zakochanych? 4-6  
Wrażenia pierwszoklasistów  
– wrażenia 7-8

## Felietony

Pij mleko – czy rzeczywiście? 8-10  
Facebook. Nowa moda 11-12  
Słów kilka o rzoteryce 12-14  
Tytoń – warto? 14-15  
Cichy krzyk 15

## Recenzje

Nijakość i oryginalność polskiej muzyce 16-17  
Metallica – Reload 17-18  
Nasza klasa 19  
Jak zostać królem 20-22  
127 godzin 23-24  
Incepcja 25-26  
Prawdziwe męstwo 27-28  
Scott Pilgrim vs. The World 25-30  
Lew, Czarownica i stara szafa 30-31  
Podróż Wędrowca do Świtu 32-33  
Stan 51 34-35

## Twórczość własna

Aktor całe życie 36  
Coś niecoś 36  
Było, jest, będzie 36  
Głaz 37  
Nadzieja 37  
O ekspansji terytorialnej myśli 38  
\*\*\* (Melancholia...) 39  
\*\*\* 39  
Fatamorgana 40  
Wojna Tytanów 41-43  
Płaszcz i okulary 44-46

## „... trzeba lubić ludzi” – wywiad z sorem Tomaszem Lubelskim

Wiecznie zabiegany, zapracowany, ale zawsze uśmiechnięty. Pracowity – obecnie uczy w 21 klasach, czyli około siedemset osób, a w ciągu całej swojej kariery miał do czynienia z około dwunastoma tysiącami uczniów. Wicemistrz Polski w judo i fan Scorpionów, czyli sor Lubelski, jakiego nie znacie!

### Tak na co dzień jest Pan bardziej optymistą, realistą, czy pesymistą?

Jestem optymistą, zawsze, nawet gdyby zdarzyło się coś tragicznego. Nie można życia traktować tak na smutno, bo jest za krótkie, no i podobno gdy tak do niego podchodzimy, to jesteśmy i zdrowsi, i piękniejsi.

### Ma Pan jakieś pasje?

Tak, rzeźbienie, ale nie mam na to zbyt dużo czasu, tak samo z czytaniem książek. Lubię też geografię, powiem szczerze. Czasami mnie wciąga. Czasami.

### A co Pana najbardziej denerwuje?

Polityka, kłótnie w naszym rządzie, które nie sprzyjają rozwojowi gospodarki, a raczej spr-

wiają temu, że zamiast się bogacić – stajemy się biedniejsi. Tak, to mnie najbardziej drażni.

### Zawsze myślałam, że nauczycieli irytują najbardziej uczniowie... Tak à propos, skąd Pan bierze te niezliczone pokłady cierpliwości do nas, swoich podopiecznych?

Po prostu trzeba lubić ludzi. Wydaje mi się, że można lubić ludzi.

### Czyli woli Pan towarzystwo ludzi niż zwierząt?

Zdecydowanie, chociaż mam 3 psy, także lubię i zwierzęta.

### Jakiej muzyki Pan słucha?

Moje ulubione zespoły to Scorpions i Queen. Lubię też Enyę i muzykę filmową, np. z filmu „Ostatni Mohikanin”. Czasami lubię też posłuchać muzyki klasycznej, np. walców wiedeńskich Straussa albo Fryderyka Chopina.

### Lubi Pan oglądać filmy?

Tak, szczególnie kasowe, czyli takie, które są naprawdę bardzo dobre i zostało na nie przeznaczone dużo środków finansowych, np. „Gladiator”, „Braveheart”, „Królestwo Niebieskie”. Nie lubię natomiast

jakichś beznadziejnych seriali.

### A co ze sportem?

Lubię gimnastykę, przez długie lata ćwiczyłem karate shotokan i judo, byłem nawet wicemistrzem Polski w judo w klasie 65.

### Gdyby Pan nie był nauczycielem geografii, to co by Pan teraz najprawdopodobniej robił?

Mam drugi zawód, jestem technikiem mechanikiem o specjalności obróbka skrawaniem. Mój ojciec był cieślą, także pewnie zakładałbym dachy na domach albo pracowałbym przy jakichś maszynach.

### Czy wierzy Pan w przeznaczenie?

Na pewno nie w takie, że np. ktoś odmroził sobie nogę, bo miał tak przeznaczone. Natomiast jestem przekonany, że istnieje przeznaczenie zapisane w gwiazdach. Myślę, że czasami możemy mu pomagać - mamy taką trochę wolną rękę, ale jednak nie do końca, trudno powiedzieć.

### Uważa Pan, że sprawiedliwość istnieje?

Na pewno. Trzeba w to wie-

rzyć, w przeciwnym razie ciężko byłoby nam poradzić sobie na tym świecie. Wierzę w ludzi sprawiedliwych, wierzę, że są wszędzie, nawet i w Arabii Saudyjskiej. Jestem tego pewien.

### **Co sądzi Pan o równouprawnieniu?**

Powinno być. Uważam, że kobieta bardzo często wykonuje dany zawód nawet lepiej niż mężczyzna, np. kobiety kierowcy mają o wiele mniej wypadków. Często kobieta, mądra kobieta, jest królową życia.

### **Czyli wedle myśli, że mężczyzna jest głową, a kobieta szyją, która tą głową kieruje... Tolerancyjnie. Co więc z dyskryminacją rasową?**

Powiem szczerze, z tego względu mam ambiwalentny stosunek do kultury arabskiej.

### **Hmm, a co by Pan zrobił, gdyby Pan wygrał milion złotych na loterii?**

Nie wiem, powiem szczerze, że nawet nie chciałbym wygrać, bo to byłoby ciężkie do wydania. Na pewno podzieliłbym się z rodziną, przeznaczył część pieniędzy na cele charytatywne, a sobie zafundował podróż dookoła świata, zdecydowanie.

### **Zdania naukowców nt. globalnego ocieplenia są podzielone. A co Pan sądzi na ten temat?**

### **Czy jest to według Pana realne zagrożenie?**

Od 20 lat jestem tym wszystkim teorii przeciwny. Myślę, że nie będzie żadnego globalnego ocieplenia, a raczej ochłodzenie, czyli proces odwrotny. Jest jakiś mniejszy procent naukowców, który właśnie tak twierdzi, że zwiększona emisja dwutlenku węgla nie będzie przepuszczać ciepła albo przepuszczać je

w ograniczonym zakresie. Ja bazuję na przesłaniach starych ludzi, którzy czytali przepowiednie Sybilli mówiące, że będą lata, gdy zima zimy będzie sięgała.

### **I tak na koniec - czy ma Pan jakieś motto, sentencję, bądź myśl, którą się Pan w życiu kieruje?**

Trudno powiedzieć... Kochać ludzi po prostu. I tak jak to miał ksiądz Twardowski - nawet jak jest w życiu niedobrze, to jest dobrze, bo jak jest dobrze i tylko dobrze, to jest niedobrze.

**Dziękuję za rozmowę.**

*Rozmawiała Aleksandra*

*Balcerzak*

## Walentynki – komercja czy święto zakochanych

Siedzisz przed telewizorem, szukasz czegoś ciekawego, jednak stacje proponują piętnastominutowe spoty reklamowe. Znudzony poszukiwaniami postanawiasz zacząć na ulubiony szlagier. I co dostrzeżasz? Wydawało się, że dopiero minął atak reniferów, elfów, bałwanów i innych towarzyszów Świętego Mikołaja

a pojawia się następny... Gadające serca, zapierające dech w piersiach sceny miłosne, czerwone róże, ogromne bombonierki i eksplozja spontanicznych uczuć. Podsumowując, WALENTYNKI!

Dzień ten jest różnie postrzegany. Dla jednych to w pewnym sensie raj, który

uzupełnia regułę: „Byle do: dzwonek, domu, piątku, wakacji”. Inni marzą, aby tylko przeżyć te komercyjne święto. W sumie to obydwie stanowiska są zrozumiałe. Ludzie, którzy lubią tego rodzaju okazje i mają z kim je spędzić, chętnie dają ponieść się chwili tego dnia, czyniąc go wyjątkowym i niezapomnianym. Jednak dla gro-

na samotników walentynki są albo bardzo refleksyjne, albo nie mają żadnej wartości. Tej grupie polecam babski/męski wieczór. Dużo śmiechu i dobra muzyka zdecydowanie poprawia humor.

Na czym właściwie polega fenomen tego święta? Z pewnością nie ma żadnego związku ze św. Walentym i jego ciekawym żywotem. Dziś walentynki są skierowane do młodzieży, którą przyciągają kartki, kwiaty i słodkości. W przyszłości mogą być niesamowite wspomnienia, dlatego uważam, że spontaniczność tego dnia tworzy jego wyjątkowość. Niektórzy interpretują to zbyt dosadnie i odgrywają sceny z komedii romantycznych, ale wbrew pozorom jest to niezwykle pozytywne, więc pozwólcmy ludziom cieszyć się tym dniem.

Walentynki mogą być świętowane w różnych miejscach, nawet w szkole. Przykładem jest nasze liceum. 11 lutego Koło Żywego Słowa przygotowało krótki skecz przedstawiający historię zakochanych i bożka miłości. Udział w nim wzięli: Zuzanna Paszkowska, Mateusz Gerasik, Paweł Bałdyga, Mateusz Kasprzykowski, Jakub Nowak, Filip Zarzyński. Nie zabrakło także miłosnych brzmień. Alicja Olejniczak, Krzysztof Kryjak i Michał Brożyna dostarczyli dawkę uśmiechu, wykonując utwory: „Po prostu miłość” grupy RH+, „Chcę tu zostać” z repertuaru Farby oraz „Znam Cię na pamięć” Moniki

Brodki. Przedstawienie zostało pozytywnie przyjęte przez uczniów naszej szkoły i nagrodzone szczerymi brawami.

Inną inicjatywą podjętą w związku z walentynkami była poczta walentynkowa zorganizowana przez klasę 3z wraz z wychowawczynią panią Justyną Sarzałską – już po raz trzeci. Skrzynki można było znaleźć w czytelni lub korytarzach. W piątek 11 lutego kartki zostały rozdane uczniom naszej szkoły. Pomysł poczty walentynkowej przybliży nam **Aleksandra Kowalska** z klasy 3z: *Organizacja poczty walentynkowej stała się już swoistą tradycją klasy Z. Zaczęło się to wszystko od luźnego pomysłu, rzuconego mimochodem na jednej z godzin wychowawczych: „Zróbmy coś z okazji walentynek! Ale co?”. Ktoś wspominał o apelu, ktoś inny zaczął się rozwodzić nad tym, jak to było w podstawówce... W końcu, z tej małej burzy mózgów wykrystalizował się pomysł na pocztę. Przecież każdy lubi dostawać i wysyłać walentynki a przy okazji uczniowie przypominają sobie, że wszelkie pisma odręczne tak straszne nie są. Do zorganizowania zapaliła się cała klasa – wtedy 1z. Zgłosiliśmy pomysł, dostaliśmy pozwolenie, puszki zrobione, nic tylko zbierać. Ktoś zrobił plakaty, ktoś inny jeszcze ogłaszał, pierwsze puszki poszły na dyżury... No i okazało się, że połowa (jeśli nie więcej) szkoły zupełnie nie wie, co się dzieje. Wymagało to kilku poprawek w kalendarium naszego przedsięwzięcia, ale ogólnie walentynki zebrane, rozdane i zakończone sukcesem. W drugiej klasie od początku było wiadomo –*

*poczta musi być! Wprawdzie wcześniejsi „głównodowodzący” odeszli lekko w cień, organizacji podjęły się inne osoby, ale wyszło jak wyszło – tak jak w ubiegłym roku. To znaczy źle, bo mieliśmy się rozwijać, prosperować, nasza kreatywność powinna być na wyższym poziomie a tu co? Lipa. W związku z czym poprzedni „głównodowodzący” pokiwali głowkami, zastanowili się i wyszła decyzja: na koniec zrobimy te walentynki raz a porządnie!*

Organizacja tegorocznej poczty rozpoczęła się na długo przed lutym. Zweryfikowano sprzęt, stwierdzono, że się nadaje, rozdzielono obowiązki, wszyscy gotowi i z niecierpliwością czekający na akcję. Wiemy: Kiedy? Jak? Gdzie? Efekt... Cóż. Chyba wiecie sami. Przeszkadzaliśmy trochę, walentynki niektórych klas się pomieszały, ale ogólnie akcja odniosła sukces. Stoimy za tym my, to znaczy klasa 3z. Cała klasa. Wszyscy, od numeru 1. do 32., mieli swój wkład w tworzeniu, zbieraniu, sortowaniu, rozdawaniu, opracowywaniu planu itd. Oczywiście całość nie mogłaby się odbyć (i nie odbyłaby się) bez wsparcia sorki Justyny Sarzałskiej.

A jakie zdanie na temat Walentynek i poczty walentynkowej zorganizowanej w naszej szkole mają uczniowie naszej szkoły?

- **Beata Arciszewska:** Poczta to bardzo ciekawy pomysł. Nie wzięłam w niej udziału, ale myślę, że inni doświadczyli ciekawych wrażeń. Poza tym był to miły przerywnik dnia pełnego ciężkich i wyczerpują-





cych lekcji.

• **Kamila Dylewska:** Jeżeli chodzi o walentynki, uważam je za zbyt komercyjne święto, lecz nie są złe, gdy ma się je z kim spędzić. Co do poczty, sądzę, że w liceum coś takiego jest zbędne. Owszem, w gimnazjum było to jakąś frajdą, gdyż dzięki tym walentynkom można było odkryć jakieś nieśmiałe miłości, lecz w liceum, bynajmniej z moich obserwacji, można było zauważyć jedynie przesłodzone przyjaźnie. Osoby będące w związku i uczęszczające do liceum wolą jednak w nieco inny sposób uczcić to święto z ukochaną osobą.

• **Aleksander Borkowski:** Moim zdaniem idea wręczania walentynek przez tak zwaną pocztę walentynkową jest bardzo dobra. W swoim życiu nie otrzymałem wielu walentynek, tudzież miłych liścików od płci przeciwnej, ale cały rok czekam na ten dzień. Ponadto w każdej szkole jest takie coś, a nasza szkoła zawsze jest we wszystkim najlepsza, więc nie

mogło zabraknąć i walentynek. Nawiaźmy jednak do pochodzenia walentynek. Jest to święto św. Walentego, patrona za-

że zorganizowanie poczty walentynkowej to bardzo fajna inicjatywa ze strony uczniów. Z pewnością otrzymanie walentynki sprawiło wszystkim wiele radości, a niektórzy dostali ich nawet kilka. Moim zdaniem poczta walentynkowa stanowiła miły akcent na zakończenie pierwszego semestru.

Według mnie Walentynki to dzień w roku, który zdominowała komercja. Przesyt różnych gadżetów i chwytów marketingowych sprawia, że uczucia zostają odrzucone na drugi plan. Czasami lepiej usłyszeć serdeczne słowo niż otrzymać kosztowny upominek. Osoby, które doceniają wartość tego dnia, nie powinny spędzać go w samotności. Rozumiem również tych, którzy je odrzucają. Przecież każdy inny dzień może być wyjątkowy. Ważne, by być wrażliwym i cieszyć się życiem na swój sposób...

*Joanna Kruszyńska*

kochanych, a także epileptyków (ich dzień przypada także 14 lutego). Na zachodzie Europy dzień ten obchodzono już w średniowieczu, do Polski święto trafiło w latach 90. ubiegłego wieku. Mam nadzieję, że przybliżyłem czytelnikom gazety szkolnej historię tego jakże cudownego dnia.

• **Joanna Pałac:** Myślę, że to cudownie, że obchodzimy walentynki, bo miłość to jedyna rzecz na tym świecie, która może ocalić ludzkość i jednoczy ludzi z różnych kręgów kulturowych, duchowych, materialnych itp. Poczta walentynkowa jest świetnym pomysłem, gdyż możemy wyznać komuś swoje uczucia i uszczęśliwić innych, którzy nadają naszemu życiu sens, nadają im piękne kolory i są niezbędni do życia jak powietrze. Podsumowując, uważam, że poczta walentynkowa to piękny sposób na wyrażenie swoich emocji i miły gest w stosunku do bliższych nam ludzi.

**Adrianna Wołowicz:** Uważam,

## Wrażenia pierwszoklasistów. Liceum

Pół roku szkolnego już za nami... Jednak to pozorne mnóstwo czasu minęło w momencie. Spacerując szkolnym korytarzem, mimo trzyletniej nauki w gimnazjum, nadal dostrzegam pełno obcych twarzy. Zastanawiam się więc, jak musi to wyglądać z perspektywy tych, którzy w tej szkole spędzili zaledwie pół roku. Szkoła zdecydowanie stara się pomóc nowym uczniom zaaklimatyzować się. Dobrym tego przykładem jest dyskoteka zapoznawcza odbywająca się jesienią. Mimo iż wiele osób odrzuca ją jako słabą formę rozrywki, to zdecydowana większość pierwszaków uczestniczy w tym wydarzeniu, by wesprzeć swoją klasę w trakcie krótkiej prezentacji. Inną formą integracji są wycieczki (w tym momencie podpowiadam, że można by organizować ich więcej). Nie od dziś wiadomo, że wspólna droga w dusznym autobusie, wizyta w kinie, teatrze czy inna forma rozrywki, zbliża ludzi odrobinę bardziej niż godziny spędzone w szkolnych ławkach. Jednak prawdziwa integracja rozpoczyna się dopiero po godzinach zajęć. W tym roku popularnością wśród klas pierwszych cieszą się tzw. „ćwiartki” – imprezy stworzone na podobieństwo

„połówek”, jednak zdecydowanie bardziej masowe. Większość klas w tym roku podjęła się zorganizowania takiego wydarzenia. Myślę, że okazały się one dużym sukcesem.

Jako że w szkole nie jestem jedyną pierwszoklasistką, postanowiłam zapytać uczniów, którzy do naszego liceum chodzą pierwszy rok, o to, jakie wrażenie wywarła na nich szkoła, czy jest znacząca różnica pomiędzy gimnazjum i liceum oraz czy czują się tu „jak w domu”. Poniżej przedstawiam wybrane opinie:

- **Kamila Dylewska, 1b:** Pół roku w nowej szkole upłynęło bardzo szybko. Różnica jest moim zdaniem niewielka, największą chyba jest to, że dojeżdżam, co bywa czasem kłopotliwe. Jeżeli chodzi o ilość nauki, nie jest jej mało, lecz gdy człowiekowi się chce, jest w stanie spokojnie opanować przynajmniej większość materiału. Wydaje mi się, że się zaaklimatyzowałam, poznałam wielu wspaniałych ludzi, mam tu niesamowitych przyjaciół, dzięki czemu czuję się w tej szkole naprawdę dobrze :)

- **Krzysiek Falenta, 1c:** Po pół roku nauki w liceum definityw-

nie mogę powiedzieć, że czuję się tu bardzo dobrze. Co więcej, po zaledwie kilku miesiącach bardziej polubiłem to miejsce i żyłem z nim niż z moim gimnazjum przez trzy lata. Atmosfera jest pozytywna, ludzie w porządku, to chyba właśnie dzięki nim dobrze się tu czuję. Szybko się zaaklimatyzowałem. Cieszę się, że zdecydowałem się na Płocką.

- **Asia Więckowska, 1b:** Szkoła jest spoczko, dobre wnętrze, łatwo można się w niej odnaleźć i ogarnąć, gdzie co jest. Dobra atmosfera, mili ludzie, dobra muza. Życie ułatwiają – tablica ogłoszeń i szafki. Różnica między szkołami spora, bo LO jest o wiele większe niż gimnazjum i panuje tu większa swoboda.

O to, czy dostrzegają w ogóle jakiejkolwiek różnice między nauką w LO a w PGP, postanowiłam również zapytać uczniów uczęszczających jeszcze niedawno do naszego gimnazjum:

- **Olga Sobocka, 1a:** Dla mnie przejście z gimnazjum do liceum nie było ogromną zmianą. Oczywiście przez trzy lata zdążyłam się bardzo przywiązać i zintegrować ze swoją klasą, więc brakuje mi niektórych osób, ale duża część jest nadal

razem ze mną. Zmienili mi się tylko nauczyciele, praktycznie żadnego wcześniej nie znałam, więc trzeba było na nowo się przystosować.

- **Radek Kowalski, 1a:** W moim przypadku przejściu z gimnazjum do liceum towarzyszyło trochę niepewności i obawy przed wkraczaniem w poważne, dorosłe życie. Samo zaaklimatyzowanie się nie stanowiło większego problemu z racji te-

go, że uczę się w tym samym budynku, tyle że w różnych dokumentach widnieje nazwa I LO im. Henryka Sienkiewicza. Nie odczuwam większych różnic oprócz tego, że nie trzeba nosić niewygodnego i niezbyt ładnego mundurka, i jest więcej nauki. Poza tym nic się nie zmieniło.

Większość pierwszoklasistów czuje się więc w szkole

dobrze (albo przynajmniej tak twierdzi). Myślę, że już niedługo wszyscy szkołę pokochają i sypiać w nocy nie będą z tęsknoty, przestaną obawiać się złowrogich spojrzeń uczniów klas maturalnych i nie będą szukać podstępów w uśmiechach rzuconych przez nauczycieli.

*Loretta Raczkowska*

## Pij mleko — czy rzeczywiście?

### „Pij mleko, będziesz... kaleką!”

„Pij mleko, będziesz wielki” – to hasło reklamowe znamy wszyscy. Obecne w telewizji, radiu, gazetach dotarło niemal do każdego Polaka. Dużego i, co gorsza, małego, który zapewniony o doskonałości mleka przez takie autorytety jak Kayah, Krzysztof Hołowczyc, czy Bogusław Linda, uwierzy im i będzie pił mleko, chcąc być (duży?) jak oni. Akcja ta ruszyła we wrześniu 2002 r. i trwa do dziś. Jej organizator – Międzynarodowe Stowarzyszenie Reklamy – za cel uznał „intensyfikację działań profilaktyki osteoporozy poprzez wykreowanie mody na picie mleka”. Innymi słowy – pij mleko, nie będziesz chodził o kulach.

I tu pojawia się zgrzyt między ideą organizatora

a wynikami badań zawartymi przez A. Colbin w książce pt.: „Osteoporoza”. Osteoporoza to choroba polegająca na osłabieniu kości przez ich odwapnienie. Najbardziej rozpowszechniona jest w krajach o (uwaga!) największym spożyciu mleka np. w Kanadzie, USA, północnej Europie. Jak to możliwe, biorąc pod uwagę zbawienny wpływ mleka na kości i dużą zawartość w nim białka i wapnia – tak ważnych składników w rozwoju organizmu ludzkiego?

Od wielu lat światowe społeczeństwo jest bombardowane nieustanną propagandą na temat doskonałości mleka i, co za tym idzie, konieczności jego spożywania. Zrobiono z niego niemal eliksir życia, bez którego nie mowy o normalnej egzystencji. Tymczasem badania wykazują, że rzeczywistość jest zupełnie inna niż ta, którą wciąż jesteśmy karmieni.

W skrócie działa to tak: krowie mleko, dostając się do żołądka człowieka, pod wpływem kwaśnych soków żołądkowych ścina się, tworząc substancję przypominającą twaróg. Ten „twaróg” oblepia inne pokarmy znajdujące się w żołądku. Dopóki ścięte mleko nie zostanie strawione, proces trawienny żadnego innego pokarmu nie rozpocznie się. To często powtarzające się zjawisko może spowodować zaburzenia w funkcjonowaniu układu pokarmowego. I nie tylko. Dr Christiane Northrup w książce „Women’s Bodies, Women’s Wisdom” twierdzi, że spożywanie produktów mlecznych ma związek z licznymi schorzeniami: trądzikiem, bólami menstruacyjnymi, włókniakami, chorobami piersi. Pozbycie się mleka z diety usuwa również bóle macicy, alergie, nawracające infekcje drożdżakowe. Niektóre badania



wykazują nawet korelację pomiędzy cukrzycą młodzieńczą a spożyciem mleka. Jego spożycie może być także jednym z głównych czynników pogłębiających podatność na popularne choroby zakaźne.

W imię miłości do dzieci i dla ich dobra, rodzice karmią je mlekiem, a lekarze przepisują leki na choroby, które mleko wywołuje. Lista tych jest, proszę mi wierzyć, zadziwiająco długa – od kataru, przez alergie i astmę, aż do miażdżycy, która jest przecież chorobą naprawdę poważną. Problemy wynikające ze spożycia krowiego mleka są tak częste, że cieszący się wielkim szacunkiem laryngolog profesor dr Frank Oski napisał książkę „Proszę, nie pij mleka”. Jak sam przyznaje, przed przystąpieniem do zabiegu rutynowo przeprowadza eksperyment eliminacji nabiału z jadłospisu chorego. Wynik jest zadziwiający: „trzy czwarte pacjentów zdrowieje bez konieczności stosowania drenażu uszu”. Mleczne kłopoty biorą się być może też stąd, że stosunek zawartego w nim wapnia do fosforu wynosi 1:1. Człowiek musi natomiast utrzymywać poziom wapnia wyższy od fosforu. By tak było, dostarczane do organizmu mleko krowie usuwa z kości wapń, by utrzymać odpowiedni jego poziom we krwi.

Ciekawą sytuację opisał również dr J. Jonas w książce pt.: „Zagadki zdrowia”: „Przyprowadzono do mojego gabinetu dziecko, które ze względu na takie cechy charakteru jak odpychające zachowanie, błazenady, brak koncentracji było przez kilka lat leczone przez psychiatrów. Badania laboratoryjne wykazały

alergie na mleko krowie. Po ograniczeniu spożycia cukru rafinowanego i całkowitym wyeliminowaniu mleka krowiego nastąpiła radykalna zmiana. W ciągu kilku tygodni dziecko spoważniało i zaczęło się zachowywać odpowiednio do swojego wieku. Wyniki nauczania też się poprawiły...”.

Przedstawiany w reklamach obraz szczęśliwej, łaciatej krówki pasącej się na ogromnej, zielonej łące, skubiącej świeżą, naturalną trawkę i dającej zdrowe, pachnące mleko jest... no cóż, po prostu... fikcją. Większość krów, które je produkuje, nigdy nie je trawy i nie przebywa na świeżym powietrzu. Mleko, które dają, zanim zamieni się w UHT, podgrzewane jest przez kilka sekund do temperatury 140°C. To powoduje jego całkowite wyjałowienie. Jest w nim o 20% mniej witamin B i aż 25% mniej witaminy C i kwasu foliowego.

Nie raz i nie dwa spożywaliliśmy mleko pasteryzowane. Teraz dwa słowa o tym. Celem pasteryzacji mleka jest zniszczenie „złych” bakterii. Wysoka temperatura nie rozróżnia jednak „dobrych” i „złych” bakterii, zabija oba rodzaje, również korzystne dla człowieka bakterie kwasu mlekowego. Autorytet wśród znawców tego tematu, dr M. Murray, nazwał pasteryzowane mleko „zupą bakteryjną”, ponieważ ciała zabitych w czasie pasteryzacji bakterii pozostają przecież nadal w tym mleku... Żołądek dorosłego człowieka nie jest w stanie strawić pasteryzowanego mleka. Mają z tym problem nawet niemowlęta, o czym świadczą kolki, wysypki i inne dolegliwości dość częste dla dzieci karmionych z butelki. Także spożywanie mleka przez karmiące matki negatywnie wpływa na zdrowie ich maluchów.

chów.

Co ciekawe, ludzie Wschodu i Afrykanie tradycyjnie od zawsze unikają mleka, traktując je najwyżej jako środek oczyszczający. Żaden żyjący na wolności ssak na świecie (oprócz człowieka), będąc dorosłym osobnikiem, nie spożywa mleka. A podobno najlepsze jest to, co naturalne... Na pocieszenie dla wielbieli mleka dodam, że z blisko stuletnich badań Amerykanów i Japończyków nad żywieniem zgodnym z grupą krwi wiadomo, że bez problemów zdrowotnych pić mleko może większość osób z grupą krwi B.

Cóż, jak widać w dzisiejszym świecie nawet doskonałość produktu zwanego do tej pory „doskonałym” postawiono pod znakiem zapytania. Miałam to, jak się teraz okazuje, szczęście, bo nikt nigdy (oprócz pani w przedszkolu, której właśnie dlatego nie lubiłam) nie zmuszał mnie do picia mleka. Do tej pory go nie piję, ku zdziwieniu niektórych jem kanapki bez margaryny, kefir, sery, twarogi są rzadkością w moim jadłospisie. Może po prostu tego nie potrzebuję? Mam grupę krwi 0-, czy nie potwierdza to badań dotyczących żywienia zgodnego z grupą krwi? Zdaję sobie sprawę z tego, że temat poruszony przeze mnie może wydawać się dość kontrowersyjny. Sama nie wiem, czy do końca wierzę przytoczonym badaniom. Też nie spodziewałam się takich właściwości i działania mleka. Po postu uważam, że to dość ciekawe i warto o czymś takim wiedzieć.

Następnym razem, będąc w kawiarni, czy u znajomych zamiast kawy z mlekiem i cukrem (kawa = kofeina + inne niepożądane przez organizm składniki; cu-

kier- „biała śmierć”, „słodki morderca” – o tym wiemy wszyscy i mleko.....?) poprośmy o sok pomarańczowy, czy grejpfrutowy ze świeżo wyciskanych owoców, który zawiera najlepszą dla człowieka formę wapnia – cytrynian wapnia. Ja tak robię. Na razie działa. Polecam.

*Magdalena Tomaka*



## Facebook. Nowa moda.

Po czasie świetności takich serwisów jak grono i nasza klasa przyszedł czas na coś nowego – na facebooka. Ale czy całkowicie nowego? Wszystkie wymienione serwisy społecznościowe mają za zadanie ściągnąć jak największą liczbę ludzi, którzy wciągną się w zabawę i utrzymać ich jak najciekawszymi dodatkowymi funkcjami, więc ciężko mówić o czymś nowym, a raczej innym.

Facebook zrzesza obecnie ponad 350 milionów osób z całego świata. Dziennie na przeglądaniu strony spędzają oni razem ponad 10 miliardów minut. Obecnie najwięcej użytkowników Facebooka pochodzi ze Stanów Zjednoczonych – prawie 95 milionów osób. Facebook w wersji polskiej ukazał się w maju 2008 roku. Największą popularnością cie-

szył się w listopadzie 2010 roku, kiedy w ciągu tygodnia przybyło ok. 137 900 polskich kont.

Podczas oglądania filmu „The social network”, który opowiada o historii powstania Facebooka, miałam mieszane uczucia. Pomyśl został ukradziony, a główny bohater poświęcił dla Facebooka przyjaciela. Słyszałam, że po obejrzeniu obrazu wiele osób zdecydowało się założyć konto – ja jednak się z tym nie zgadzam. Gdybym już wcześniej nie była zalogowana, to na pewno nie założyłabym sobie konta akurat pod wpływem filmu, który wcale mnie nie przekonał, wręcz przeciwnie – to tak, jakbym widziała, jak robi się szejki w McDonaldzie.

To zrozumiałe, że Facebook ma wielu użytkowników

min. ze względu na ilość swoich funkcji: możemy napisać na czacie, obejrzeć zdjęcia znajomych, skomentować je, obejrzeć wpisy na tablicy, gdzie są wszystkie aktywności użytkownika, a także dowiedzieć się wiele na temat jego zainteresowań, od filmów i programów telewizyjnych, przez muzykę i książki aż do innych, które sami dodajemy, związanych ze światopoglądem. Możemy odpowiadać na pytania dotyczące naszych znajomych i zobaczyć, co oni odpowiadali na nasz temat. Możemy skorzystać z wielu aplikacji, zobaczyć swoje miejsce w rankingu na najładniejszą osobę, sprawdzić, kto o nas najczęściej myśli i kto jest naszą dzisiejszą „miłością”. Można grać w gry, dostać zaproszenie na wydarzenie oraz zobaczyć, kto obchodzi dziś urodziny. Mnogość tych różnorodnych funkcji ma gwarantować, że każdy znajdzie coś dla siebie. Słyszysz się również o radzeniu sobie z problemami prywatnymi przez Facebooka, przejście ze statusu „w związku” do „wolny” kończyło wiele związków, nawet tych wieloletnich. Tak więc na Facebooku kreujemy drugich siebie, zamieszczając takie dane o sobie, jakie chcemy, aby widzieli ci, którzy podglądają nasz profil. Parafrazując: tak nas widzą, jak siebie opisujemy.

Naukowcy twierdzą, że młodzi ludzie niejednokrotnie



nie mogą sobie poradzić z rosnącym zaangażowaniem w to, co dzieje się aktualnie na Facebooku. Presja zalogowania się i sprawdzenia najświeższych informacji dotyczących znajomych, obejrzenie ich najnowszych zdjęć oraz porównanie

wyników gier, czy testów, jest tak silna, że zapominają oni o swoich „ziemskich” obowiązkach. Jak widać „pejsik” to wspaniałe miejsce na poznanie bliżej znajomych ze szkoły i prezentowanie własnej osoby, jednak pamiętajmy również, że

jest to miejsce, gdzie możemy stracić mnóstwo czasu, którego nam nic nie wróci.

Patrycja Boruta

## Słów kilka o ezoteryce

Ezoteryka - słowo pochodzące z języka greckiego, które znaczy dosłownie „wewnątrz”. Dlaczego ludzie po nią sięgają i co nimi kieruje? Co im daje, a co chcieliby, żeby dawała? Jak społeczeństwo odnosi się do ezoteryki i ludzi zajmujących się tą dziedziną? Rosną kontrowersje związane z tym tematem. Czy można sprecyzować dziedziny, które wchodzi w skład ezoteryki oraz czym tak naprawdę ona jest? Te wszystkie pytania otrzymają dziś swoją odpowiedź.

Człowiek - jakże słaba i krucha istota narażona na ogromną ilość wahań, upadków, porażek emocjonalnych i egzystencjonalnych. To właśnie one decydują o tym, że szukamy jakiegoś ratunku, czegoś, co choć na chwilę da nam nadzieję, że teorie życiowe, którymi się kierujemy, są właściwe - co daje nam sta-

bilizację psychiczną potrzebną do normalnego funkcjonowania.

Dlatego niektórzy ludzie z braku teorii lub przez czysty przypadek - natrafiając w Internecie na jakiś artykuł, czy też forum związane z ezoteryką - zaciekawieni, sięgają po nią. To właśnie głównie z czynników emocjonalnych lub przez przypadek ludzie zaczynają zajmować się ezoteryką, a nie z chęci poznania własnego wnętrza, co powinno być główną motywacją w obcowaniu z takimi siłami.

Nieświadomi konsekwencji ludzie, bez kontaktu z doświadczoną osobą, pochopnie i bez zastanowienia podejmują się trudnych i niebezpiecznych doświadczeń, często po bardzo krótkim okresie przygotowawczym (1-2 lata), chociaż niektórzy zajmują się tym całe życie i nigdy im się one nie

udały lub nigdy by się ich nie podjęli ze względu na niebezpieczeństwo w razie niepowodzenia, które może się skończyć ściągnięciem na siebie jakiejś klątwy, utratą zdrowia, utratą własnego ciała lub nawet śmiercią. Jednak czasem nawet to nie przeraża ludzi. Często zafascynowani fenomenem ezoteryki ulegają żądzy władzy nad naturą, chęci obcowania z istotami pozaziemskimi lub podróży w inne wymiary, jeśli jest to dobrym określeniem zjawiska OOB. Znów zapominają o poszukiwaniu własnego wnętrza, które pozwoliłoby im otworzyć oczy i pozbyć się zbędnych żądz, które blokują ich przed możliwością otwarcia się na nowe perspektywy - pozacielesne.

Spółeczeństwo, zdominowane głównie przez wielkie religie świata (tj. judaizm, konfucjanizm, buddyzm, islam, hinduizm i naj-



większa religia – chrześcijaństwo), patrzy z dystansem, a czasem nawet z lekką pogardą na ludzi zajmujących się ezoteryką, uważając ich za zacofanych i niebezpiecznych, co w wielu przypadkach jest jedynie stereotypem wykreowanym przez mass media. Ludzie boją się ezoteryki i osób z nią związanych bardzo często z powodu niewiedzy na jej temat lub zakłamaniej wiedzy. Tak naprawdę są oni tak samo źli i niebezpieczni jak każdy inny przechodzący człowiek na ulicy.

Pierwszym i największym problemem, jak w każdej religii, jest znalezienie dowodów. Tutaj jest trochę inaczej. Wielkie kontrowersje wzbudzają: hipnoza, wróżbiarska pomoc w poszukiwaniach zaginionych osób, naukowo udowodnione korzyści zdrowotne (fizyczne i psychiczne) płynące z medytacji, z czakramów Ziemi, czy z bioterapii. Bardzo często zdolności te są przypisywane złym mocom, czego oczywiście nie można wykluczyć, lecz trzeba też uwzględnić fakt, jak wiele dobrych rzeczy dzieje się dzięki nim, jak wielu ludzi wraca do zdrowia lub odzyskuje pamięć. Poza tym nie można uogólniać, dobrze wiemy, że w każdym miejscu na świecie, w każdej

religii, bez względu na to, jak bardzo pokojowe miałyby one założenia, znajdują się źli i okrutni ludzie, którzy będą się kierować jedynie żądzą dóbr materialnych.

W przypadku medytacji odkryto bardzo ciekawy fakt, a mianowicie, że wyróżniamy cztery stany naszego umysłu:

1. Beta – stan pełnej aktywności umysłowej, jest to stan, w którym najczęściej znajdujemy się za dnia. Mamy przytomny, jasny umysł.

2. Alfa – stan alfa charakteryzuje się relaksem, spokojem, wewnętrzną aktywnością umysłową. Jest to stan, w którym szybciej zdrowiejemy, szybciej zapamiętujemy i uczymy się. W tym stanie powstawały wielkie dzieła muzyczne, plastyczne, wiersze, wynalazki. Jest to stan odpowiedzialny nie tylko za twórczość, ale także za fenomeny hipnozy, postrzegania pozazmysłowego, widzenia aur i innych. Mimo tylu zalet przebywania w tym stanie, większość ludzi traci w nim świadomość i zasypia.

3. Theta – stan bardzo głębokiego relaksu, występuje tu całkowity paraliż ciała fizycznego, uczucie zimna, zaawansowana hipnagogia. Przebywając świadomie w

tym stanie, potrafimy całkowicie kontrolować swój organizm, tj. wpływać na rytm bicia serca, pracę narządów. Znane są przypadki zatrzymania silnego krwawienia w tym stanie. Theta jest poziomem głębokiej medytacji i raczej tylko w tej formie jest osiągalna dla świadomego umysłu, gdyż w „normalnych” okolicznościach, będąc w trzeciej, jesteśmy głęboko uśpieni.

4. Delta – jest bardzo głębokim snem. Uzyskanie świadomości tego stanu graniczy z cudem.

Ciężko jest sprecyzować dziedziny wchodzące w skład ezoteryki i napisać, czym ona jest. W jej skład wchodzi takie dziedziny jak: Medytacja, Energia, Projekcja Astralna, Podróż Poza Ciałem (OOBE – Out Of Body Experience), Magia – dzieląca się jeszcze na kilka innych dziedzin jak Angelologia czy Demonologia, Alchemia i Zielarstwo, LD (Lucid Dreams – świadome sny) i wiele innych. Ezoteryka jest – jak napisałem na samym początku – poznawaniem własnego wnętrza, czyli tak naprawdę dla każdego człowieka jest czymś innym, bo każdy człowiek w inny sposób poznaje siebie. Dopiero po wstępnym odkryciu wnętrza, przystępu-

jąc do poważniejszych dziedzin, ezoteryka może stawiać się czymś więcej – obcowaniem z pozacielesnością.

[www.wikipedia.pl](http://www.wikipedia.pl)

[www.google.pl](http://www.google.pl)

Bibliografia:

Bartek Więckowski

[www.ezo.ok1.pl](http://www.ezo.ok1.pl) (za pozwoleniem administratora, czyli mnie)

## Tytoń – warto?

Tytoń to jedna z najbardziej rozpowszechnionych używek w społeczeństwie. Zawarta w papierosach nikotyna wywołuje specyficzny stan dobrego samopoczucia. „Fenomen” ten zawdzięczamy Krzysztofowi Kolumbowi, który oprócz odkrycia Ameryki, z czego jest głównie znany, odkrył również tę roślinę. Tytoń początkowo był żuty lub ssany, później palony w postaci cygar, a dziś jego najbardziej znana forma to papierosy.



Pierwotnie nie zdawano sobie sprawy z zagrożeń, jakie niesie ze sobą palenie tytoniu. Wiedza ta była umyślnie zatajana przez producentów, którzy, tworząc kampanie reklamowe, nastawiali się na maksymalny zysk.

W dzisiejszych czasach wszystkim zależy na atrakcyjnym wyglądzie. Niestety, będąc „palaczem”, sami sobie szkodzimy po tym względem. Najbardziej widocznym i niekorzystnym efektem palenia jest uszkodzenie cery. W szczególności u pań, których skóra jest cieńsza niż u mężczyzn, starzeje się ona dwa razy szybciej, a zmiany w wyglądzie są znacznie bardziej widoczne. Przeciętny nałogowiec wygląda o 5-10 lat starszej od swojego rówieśnika.

Najgorszym, negatywnym skutkiem jest spora liczba groźnych chorób wywoływanych przez palenie papierosów. Blisko 95% złośliwych nowotworów płuc występuje u osób palących, także inne nowotwory układu oddechowego – nowotwory jamy ustnej, gardła, przełyku i krtani. Pojawiający się w parze z tytoniem zawał serca jest jednym z głównych przyczyn zgonów w Polsce, dopiero po 10 latach od definitywnego rozstania z papierosami ryzyko zachorowania na raka płuc zmniejsza się do poziomu występującego w przypadku osób niepalących. Ponad to palaczowi grozi:

- udar mózgu
- katarakta
- choroba żołądka i dwunastnicy
- nowotwór trzustki

- mniejsza potencia seksualna i płodność
- częste infekcje górnych dróg oddechowych
- rak nerki, trzustki, wargi, języka, jamy ustnej, pęcherza moczowego
- choroba niedokrwienna serca

- przewlekłe zapalenie oskrzeli
- gruźlica układu oddechowego
- nadciśnienie tętnicze arteriosclerosis (miażdżyca tętnic)
- wrzody żołądka oraz dwunastnicy
- przepukliny jelitowe

Warto?... A co jeśli spotkasz na swojej drodze miłość swojego życia, spełni się twoje największe marzenie lub zostaniesz milionerem, a za miesiąc będziesz musiał porzucić to wszystko, bo umrzesz przez to, że chciało ci się palić? Zatem, czy naprawdę warto palić?

*Bartłomiej Więckowski*

## Cichy krzyk

Siedzę nad pustą kartką, zupełnie białą, przeciętną, zwykłą, wręcz melancholijnie niewyjątkową. Zastanawiam się, jak przelać na nią to, co mnie dotyka, to, co czuję, to, jak widzę ten trochę za bardzo zwariowany i okrutny świat. Myślę o tym, jak to zrobić, żeby po raz kolejny czegoś nie popsuć i nie zamienić tego w zupełnie bezużyteczne świnstwa.

Nie potrafię zgadnąć, czy wiecie, jak to jest słyszeć dźwięk pękającego serca i umierających marzeń, tak okropny dźwięk, tak bardzo zapadający w pamięć i tak strasznie destrukcyjny, potrafiący zniszczyć wszystko. Ja niestety potrafię z wyjątkową dokładnością i każdym najmniejszym szczegółem opisać ten cichy hałas. Jest to gorsze od pękającego szkła, piszącej

krety na tablicy, płaczącego dziecka. Jest to odgłos, który można umieścić gdzieś na pograniczu zderzenia rzeczywistości z wizją otchłani, Boga z beznadzieją, diabła z tandetą czy miłości z nienawiścią. Najgorsze jest to, że nie potrafi go usłyszeć nikt inny z wyjątkiem osoby przeżywającej ten dramat. Lament matki nad przedwcześnie zmarłym dzieckiem, krzyk nienawiści czy nawet błagania o litość niewinnego człowieka stojącego przed śmiercią nie są tym, co można określić mianem uczuć żywego i zdrowego człowieka, który każdego dnia umiera gdzieś w środku. Paradoks jednak tego tkwi w tym, że każda opisana tu cierpiąca istota słyszy ten dźwięk, ten przeraźliwy, rozrywający hałas, którego nie słyszy nikt, nikt bez względu na to, jak daleko/blisko od cie-

bie się znajduje.

*Aleksandra Romanowska*

## Nijakość i oryginalność w muzyce

Przez ostatnie kilka miesięcy zaobserwowałem, że młodzi ludzie nie słuchają muzyki granej przez polskie zespoły. Prawdopodobnie mają ku temu jakieś powody. Czy jest aż tak nieciekawa i nieoryginalna?

Jednym zdaniem, na pewno na to pytanie nie można odpowiedzieć. Po pierwsze trzeba zdefiniować termin „polska muzyka”. Czy wypowiadając te słowa, mamy na myśli piosenki, które nietrudno jest usłyszeć w radiu, czy całe mnóstwo mniej znanych zespołów. Jeżeli mamy na myśli to pierwsze – fakt, na polskiej scenie nie ma obecnie grupy popularnej, oryginalnej i prezentującej sobą coś niestandardowego. Może znajdziemy wyjątki, ale to dosłownie procent. To jest np. Perfect

lub Hey, ale to nie są zespoły, które powstały kilka lat temu, tylko kilkanaście, kilkadziesiąt. Na ogół wszystkie popularne grupy grają podobnie. Można sobie również postawić pytanie – dlaczego? Dlaczego zespoły znane szerokiej publiczności grają tak samo? Może to właśnie my jesteśmy temu winni? Po prostu nie wymagamy od nich zbyt wiele. Mało tego. Nie wymagamy od siebie zbyt wiele. Niestety, ale nie mamy zapału do słuchania ambitniejszej muzyki. Oczywiście nie chcę nikogo tutaj urazić, ale opisuję tylko zjawisko wy-

stępujące u większości ludzi. Kierujemy się takim tokiem myślenia: „No ta tutaj to dobrze śpiewa! Są fajerwerki, wodotryski, kolorowy strój – to mi się podoba, a nie jakieś nudne, filozoficzne śpiewanie, którego nie rozumiem”. Ale uwaga. Istnieje również odsetek polskiej młodzieży i osób dorosłych, które doceniają piękno muzyki niekomercyjnej i niosącej przesłanie.

Co jest w tym wszystkim najsmutniejsze? Najsmutniejsze jest to, że zespoły wartościowe możemy usłyszeć w kilku rozgłośniach radiowych. Ich piosenek nie znajdziemy tak łatwo w Internecie, a żeby zapoznać się z twórczością tych muzyków, należy kupić płytę. Od kilku miesięcy czytałem wypowiedzi dobrych i uznanych, polskich krytyków muzycznych, zapoznając się z historią nowej fali. Cóż to była nowa fala? Można to krótko określić jako „napływ” nowych pomysłów i stylów w latach 80. Zespoły zaczęły eksperymentować, w Polsce rozpowszechnił się klasyczny rock, punk, reggae, muzyka elektroniczna, bluesowa. Wtedy polski odbiorca miał wybór. Nie otrzymywał zestawu „Feel lub Doda”, tylko „Dezterter, Izrael, Maanam, Dżem, Perfect”. W Trójce usłyszeć można było naprawdę dobrą muzykę i ciekawe audycje radiowe. A dzisiaj? Dzisiaj nie ma bardzo po-

popularnej stacji radiowej, która daje nam szansę zapoznania się z bardzo różnorodną muzyką. Jesteśmy w pewien sposób zmuszani do słuchania tekstów typu „chcę, byś mnie miał”. Zaczniemy od siebie więcej wymagać. Postawmy sobie wyżej poprzeczkę. Skoro w latach 80. XX wieku było to możliwe, to czemu nie jest to możliwe dzisiaj? Dzisiaj żyje również młodzież, która słucha muzyki z lat 60., 70., 80. W Polsce zaczęto grać poważniej, prawdziwej pod koniec lat 70. i w latach 80. Natomiast w Wielkiej Brytanii największy boom miał miejsce na przełomie lat 60. i 70. Przecież doskonale nam znane zespoły tj. Pink Floyd, Led Zepplin, Cream, Deep Purple to ten właśnie okres. Do dzisiaj ich piosenki są uniwersalne. Mimo iż młodzież w krajach zachodnich ma możliwość pójścia na koncert gwiazdy popkultury, często woli poczekać rok, uzbierać pieniądze i wybrać się na niesamowity koncert Claptona. Choć nie czarujemy się. Tam również większość nastolatków woli słuchać obecnej muzyki, ale jednak jest ona różnorodna.

W Polsce również grano ciekawą muzykę. Grupy takie jak Republika, Brygada Kryzys, Perfect, Maanam, Aya RL lub Daab to były zespoły prezentujące sobą coś zupełnie innego. Każdy różnił się od siebie. Republika grała rocka,



ale nie takiego zwykłego, beplciowego rocka. Ta kapela wypracowała specyficzne, bardzo indywidualne brzmienie, takie, że naprawdę ciężko jest pomylić ją z inną. Brygada Kryzys – symbol polskiego punk rocka. Zespół Perfect – najbardziej klasyczny, polski rock. Ich piosenki są znane nam do dzisiaj. O czymś to musi świadczyć. Wcześniej zespoły miały pomysł na siebie. Najśmieszniejsze jest to, że nie zarabiał wcale ogromnych pieniędzy. W filmie „Beats of Freedom”, Kora (wokalistka zespołu Maanam) powiedziała, że jej kapela wcale nie otrzymywała wielkiego wynagrodzenia za zagranie koncertu. Nie stali się bogatszymi ludźmi. No właśnie. Czyli sytuacje

się trochę odwróciły. Wcześniej naprawdę dobre, prawdziwe zespoły zarabiał mniej, a dzisiaj takie same, niczym nieróżniące się od siebie grupy, zarabiają ciężkie pieniądze...

Jest to bardzo przykre. Ale to nie jest sytuacja bez wyjścia. Pamiętajmy, że zespoły, które większą wagę przywiązują do zarabiania pieniędzy (a to są z reguły te ogrywane w radiu), grają to, co się podoba szerokiej publiczności. Więc możemy podnieść poprzeczkę wyżej... Być może nie dobrną do wyznaczonego przez nas poziomu, a w radiu zaczniemy słyszeć (dzisiaj totalnie niekomercyjne) bardzo dobre i mające swój charakter zespoły. Przecież to śmieszne, żeby za koncert Perfectu w hali wido-

wiskowej płacić 40 zł, a za występ, show (bo nie nazwę tego koncertem) Dody dużo więcej.

Najlepiej by było, gdyby powstał pewnego rodzaju kompromis. Polegałby on na tym, że w radiu wszystkim znane, popularne zespoły grałyby muzykę „przyjemną dla ucha”. Wtedy usatysfakcjonowani byłiby zarówno słuchacze muzyki popularnej, jak i słuchacze ambitniejszej muzyki. Ci pierwsi, bo dobry pop to i tak pop, a drudzy, bo przynajmniej przyjemna muzyka nie będzie im wadzić.

*Łukasz Magnuszewski*

## Metallica – Reload

Jakim zespołem jest Metallica, prawdopodobnie większość z Was wie, więc nie będę się na ten temat rozpisywał. Jeśli nie wiecie, to jest to zespół, który na dobre pokazał ciężką muzykę szerszej publiczności. Ale nie o tym, nie o tym... „Reload”. Album taki sam jak „Load”, ale inny od reszty longplay’ów Metalliki. Zespół odszedł w nich od ciężkiej formuły, skupiając się bardziej na niuansach brzmieniowych (no dobra... nie ma ich tu dużo). „Złajtowanie” zespołu wypłynęło prawdopodobnie pośrednio z jazzowych nauk

jednego gitarzysty, jednak miało to też pewnie inne podłoże. Metallica nie chciała cały czas tworzyć tego samego, siedzieć w jednej konwencji – z tego wyszły właśnie takie albumy jak „Load” i „Reload”.

Oba albumy charakteryzują się obniżeniem stroju z E do Dis. Zmiana brzmienia? O tak. Brak tu szybkich riffów, te poprzednie zastąpiły raczej zagrywki bardziej melodyczne, słynniejsze, mamy tu mniej tłumienia strun, agresywnych flażoletów. Nie jest to metal w żadnej postaci, bardziej hard rock – tak, to idealne określe-

nie. Na razie tyle, jeśli o mowa o riffach, przejdźmy do partii solowych. Kirk Hammett po lekcjach u Satrianiego zaczął nałogowo używać kaczkę, gra na niej w prawie każdym utworze. Jest to trochę irytująca maniera, tym bardziej, że nie wszędzie pasuje. Druga sprawa – nie znajdziemy tu typowego „shredowania” – solówki są wolniejsze, łagodniejsze – i znowu – bardziej melodyczne. O perkusji i o basie nie ma co się rozpisywać: Lars gra jak grał i tak samo będzie grał za 20 lat. Natomiast Jason? Nie był za bardzo lubia-

ny w zespole, więc jego partie można uznać wręcz za minimalistyczne. Bas pokrywa się w 90% z gitarami i nie za bardzo go słyszeć, no ale cóż, takie życie.

Śmieszne jest to, że... to nie jest zła płyta. Kiedyś traktowana przeze mnie po macoszemu. Mimo że od „Load’ów” zaczynałem, to mnie nie zachwyciły. Później, kiedy dowiedziałem się, że pierwszym albumem Metalliki wcale nie był Czarny Album, zupełnie porzuciłem ten okres w twórczości Amerykanów i przeszedłem do mocniejszych albumów. Load’owe kawałki cały czas mi się przewijały przez odtwarzacz, wpadały w ucho, jednak zaraz potem z niego uciekały. Wolałem poskakać po pokoju krzycząc: „Master of puppets!” niż wsłuchiwać się w kaczkę Hammetta. Jednak przyszedł moment, kiedy oprócz metalu, zacząłem słuchać też łżejszych rzeczy, a nawet bardzo lekkich i coraz częściej słuchałem tej płyty. W końcu doszło do tego, że dostałem „Reload” na urodziny i... olśniło mnie. Ten album jest naprawdę dobry! Kiedy już dostrzegłem, że nie liczy się tylko szybkość i ciężkość, ale też „feeling”, prawie zakochałem się w tej płycie.

Składa się ona z 13 naprawdę dobrych utworów. Znajduje się na niej jeden z Metallikowych koncertowych szlagierów – „Fuel”. Jest tu także kontynuacja utworu z Czarnego

Albumu – „Unforgiven II”. Spotkamy też takie smaczki jak „The Memory Remains” z udziałem Marianne Faithfull. Idąc dalej, znajdujemy „Better Than You” – utwór, za który Metallica dostała nagrodę Grammy. Później natykamy się na „Carpe Diem Baby” – numer kiedyś przeze mnie zniechęcony, a teraz nawet całkiem mi podchodzi. Później jest „Prince Charming” z chwytliwym riffem i genialnym refrenem. No i na koniec zostawiłem utwór numer 13 – „Fixxxer”. Ostatnimi czasy mój faworyt, utwór, w którym się zakochałem, znam go praktycznie na pamięć, biorąc gitarę do ręki jest pierwszym, który gram, no po prostu чудо. „Reload” jest naprawdę dobrym kawałkiem muzykowania.

Ostatnią kwestią sporną jest tajemnicza okładka. Tak samo jak okładkę do albumu „Load”, tak samo i do „Reload” robił Andresa Serrano. Raczej nikt nie domyśli się,

co przedstawia to zdjęcie. No dobra, koniec zabawy – jest to zdjęcie krwi zmieszanej z uryną. Ktoś wiedział?

Na koniec szczegóły, na które zabrakło miejsca na początku artykułu. Płytę wydano 17 listopada 1997 roku nakładem Elektry, została wyprodukowana przez Boba Rocka, Jamesa Hetfielda i Larsa Ulricha. Do tego jest to ostatni album, na którym gra basista Jason Newsted.

Naprawdę gorąco polecam.

Krzysztof Konstantinow



## Nasza klasa — ochy i achy

W ostatni czwartek przed feriami razem z grupką uczniów (i oczywiście pod czujnym okiem pedagogicznym) pojechaliśmy do Teatru na Woli na spektakl „Nasza klasa”. Od razu zacznę od minusów i narzeknę – szkoda, że był to mój pierwszy wyjazd, bo baaardzo mi się podobał i teraz mam świadomość, że trochę straciłem, bo przecież tego typu wyjazdy organizowane są w szkole nie od dziś, no ale mądry Polak po szkodzie.

Podróż (auto)busem na wycieczkach, wyjazdach prze-ważnie jest jednym z ciekaw-szych i bardziej interesujących momentów – oczywiście wspa-niałych muzeów nie przebiję nic – ta również nie przebiega-ła w grobowej atmosferze – która jednak chwilowo nastała, gry po godzinnych opowie-sciach o wycieczkowych (między innymi) osiągnięciach Ciała Pedagogiczne postano-wiło dać o sobie znać i stanow-czo przemówiło, że już starczy i nie ma ochoty więcej tego słu-chać, no cóż...

Sam spektakl już zaczął się całkiem nietypowo i ze spo-rym zaskoczeniem, kiedy na salę wszedł Borys Szc. Tak, ten Borys Szc i nie, nie przy-szedł grać, tylko jak my – oglą-dać. Żeby było ciekawiej, zajął miejsce w rządzie przed nami. Perez, który siedział od niego jakiś metr, niestety nie dał się

namówić na to, żeby wyrwać włos, czym nie zaskarbił sobie sympatii kolegów i koleżanek, ale do rzeczy...

Nasza klasa to opo-wieść-historia uczniów z jednej klasy między innymi o tym, że czas zmienia ludzi. Przyjaźnie, znajomości, czy zwykłe kon-takty pod wpływem wojny od-wracają się o 180 stopni. Czło-wiek, który kilka lat temu ko-chał się w pewnej kobiecie, dziś tę kobietę gwałci i traktuje jak zwierzę. Chęć zemsty i nie-nawiść, której źródło ciężko zlokalizować, zabija człowieka w człowieku. To też zresztą ciekawe, bo Polacy nie są przedstawieni jednoznacznie i jak do tej pory – czyli jako bo-haterzy i obrońcy uciśnionych Żydów, a przeciwnie. Pod wpływem wojny, być może w celu uniknięcia problemów ho-locaust – wymierzony przecież między innymi w przyjaciół (hm, śmieszne słowo) Pola-ków, Żydów „Naszej klasy” – jest przez tych właśnie Pola-ków (oczywiście nie wszyst-kich) w pełni

akceptowany. Przedstawienie historii bez jej wcześniejszego wybielania i upiększania.

Plusem jest to, że mimo ciężkiego i trzy-godzinnego te-

matu nie wyszedłem z sali umęczony. Pewnie dlatego, że nie bił z niej moralizatorski ton, to raczej szturchaniec w stronę myślenia i stawiania pytań: dlaczego z dnia na dzień przy-jaciół morduje przyjaciół, czy dlaczego zamiast jedności i so-lidarności wykształcają się ich kompletne przeciwieństwa. Instynkt samozachowawczy czy czysta brudna złośliwość (łagodnego słowa złośliwość nie zastąpię innym, nie prze-jdzie przez cenzurę). Wydarze-nia wojenne i sytuacja politycz-na odbiły się zresztą na całym życiu bohaterów, którzy do końca rozpamiętywali prze-szołość.

Przykry morał, niena-wiść wcale nie ma daty ważno-ści, nie wyczerpuje się a czas nie leczy ran, tylko do nich przyzwyczajają.

Michał Markiewicz





## Jak zostać królem

...król jest w każdym z nas...

Film „Jak zostać królem” opowiada o księciu Albercie (w tej roli Colin Firth), który po abdykacji swojego brata musiał zasiąść na tronie jako król Jerzy VI. Miał być tylko młodszym bratem króla Edwarda VIII, więc miał nie posiadać władzy oraz nie odgrywać ważnej roli dla państwa – z tego względu nie był przygotowany do bycia królem. Posiadał wadę wymowy, która bardzo mu przeszkadzała w sprawowaniu tak ważnej roli. W owych czasach Europa była na skraju wojny. Jego poddani potrzebowali monarchy, który w trudnych czasach dodawałby im otuchy i chęci do walki. Dlatego żona Alberta, królowa Elżbieta (Helena Bonham-Carter), szukała logopedy,

który rozwiązałby problem króla. Wybór padł na kontrowersyjnego w metodach leczenia Lionela Logue’a (Geoffrey Rush), który na początku nie przypadał do gustu księciu. Jednak po pewnym czasie zaczyna się nawiązywać pomiędzy nimi przyjaźń.

Król Jerzy VI jest w pewnym sensie takim brzydkim kaczątkiem. Od najmłodszych lat wpajano mu, że nigdy nie dorówna swojemu charyzmatycznemu bratu. Był przy nim nieciekawym, bezbarwnym i nudnym. Pomijany, odrzucany przez otoczenie. To główny powód jego jękania. Jednak po latach uświadamia sobie, że on też ma głos. Że nie jest słabym człowiekiem i nie jest gorszy od Edwarda. Nie było to wcale proste. Musiał pokonać swoje własne ograniczenia, pokazać wszystkim własną wartość.

W głównym bohaterze można zobaczyć odbicie każdego z nas. Każdy chce być akceptowany i lubiany przez otoczenie. Za to pragnienie często płaci się wysoką cenę – stajemy się jednym z miliardów ludzi na świecie, niczym się niewyróżniającym. Jednak ostatecznie król wygrał – pokonał swoje lęki, pokazał, na co go stać. Można to zauważyć w scenie, w której ćwiczy ze swoim logopedą przed koronacją, kiedy udowadnia, że potrafi być królem.

Rola Jerzego VI jest aktorskim wyzwaniem, któremu na szczęście sprostał Colin Firth. A zadanie, które zostało przed nim postawione, było trudne – musiał nauczyć się jękać. Nie mógł w tym jednak przesadzić, by nie wydawać się widzowi sztucznym. Przeglądał archiwalne kroniki filmowe, słuchał nagrań przemówień króla oraz czytał jego listy. Korzystał również zarówno z wypowiedzi scenarzysty filmu (David Seidler), który się w swoim dzieciństwie jękał, jak i siostry Kate, terapeutki. Ale opłacił się trud włożony w rolę – dostał Oscara w kategorii Najlepszy Aktor Pierwszoplanowy.

Anna Sienkiewicz

...o przewyciężaniu słabości słów kilka...

W początku XX wieku znacznie zyskuje na swojej wartości znaczenie brytyjskiego monarchy, do tej pory pełniącego jedynie funkcję reprezentatywną – zarówno w polityce zewnętrznej, jak i wewnętrznej kraju – który cały czas pozostawał marionetką w rękach urzędników – parlamentu. Wraz z początkiem nowego wieku wszystko się zmienia i monarcha staje przed zadaniem przejęcia pełnej kontroli nad państwem i pokierowania narodu ku dobrobytowi,





stabilizacji społecznej, czy wolności w obliczu zagrożenia ze strony nieprzyjaciela. To zadanie jednak, jak się okazuje w przypadku najnowszej produkcji Toma Hoopera „Jak zostać królem”, może zostać uniemożliwione poprzez czynniki, na które człowiek nie ma niekiedy żadnego, najmniejszego nawet wpływu.

Głównym bohaterem filmu Hoopera jest młody książę Jorku – Albert (Colin Firth), cierpiący od dziecka na zaburzenia mowy. Fakt, iż Albert jęka się i nie jest w stanie wygłosić jakiegokolwiek przemówienia na forum publicznym sprawia, że popada on w kompleksy i zaczyna naprawdę przejmować się swoją przypadłością. Żona Alberta – Elżbieta, grana przez, według mnie, genialną Helenę Bonham Carter, widząc, jak bardzo mąż nie potrafi poradzić sobie z narastającą presją wywieraną na jego osobę przez ojca, pełniącego rolę głowy państwa, czy brata – Edwarda, będącego następcą tronu brytyjskiego, udaje się do znanego w Londynie i powszechnie uznanego logopedy – Lionela Logue’a (granego przez Geoffrey’a Rusha) z nadzieją, iż może on, mimo wielu porażek poprzednich lekarzy, próbujących pomóc Albertowi w jego problemie, pomoże księciu w otworzeniu się, uwierzeniu w swoje możliwości i, może nieco kolokwialnie rzecz ujmując, rozwiązaniu języka.

Po śmierci władcy Jerzego V i abdykacji brata Alberta, musi on, jako prawowity dziedzic, zasiąść na tronie. Wiąże

się to z ogromną odpowiedzialnością, a przede wszystkim mnóstwem publicznych wystąpień, które młodego władcę, mimo wielu dotychczasowych zajęć z Lionelem, z którym, warto podkreślić, bardzo się zaprzyjaźnia (motywy przyjaźni staje się jednym z głównych wątków filmu, to głównie dzięki owej przyjaźni udaje się Lionelowi w końcu pomóc przyjacielowi), paraliżują i uniemożliwiają swobodną wypowiedź. Gdy przechodzi moment skrajnego załamania, są przy nim żona i przyjaciel, którzy pomagają w tych trudnych chwilach przypartemu do muru, nieodnajdującemu tak upragnionej drogi ucieczki bohaterowi – nie może on odmówić przyjęcia korony, mimo największych i najszerszych chęci. Z czasem jednak Lionel pomaga Albertowi i uczy go przemawiania do publiki, umiejętności szczególnie istotnej w obliczu wybu-

chającej II wojny światowej, kiedy to naród angielski potrzebuje politycznego, oraz duchowego zarazem, przewodnika. Książę, przyjmujący przydomek Jerzego VI podczas uroczystej koronacji, oraz jego żona Elżbieta, stają się symbolem walki o wolność narodu. Lionel nie opuszcza przyjaciela aż do śmierci.

Produkcja Toma Hoopera, nominowana do 12 Oscarów (w takich kategoriach jak najlepsza montaż, kadrowanie, dźwięk, drugoplanowe role Geoffrey’a Rusha i Heleny Bonham Carter, czy też muzyka Alexandre’a Desplat, znanego m. in. z takich filmów jak „Ciekawy przypadek Benjamin Buttona” i „Złoty kompas”), w konsekwencji została okrzyknięta najlepszym filmem 2011. roku. Sam reżyser także został uhonorowany statuetką, jak również odtwórca głównej roli księcia Alberta – Colin Firth, czy scenarzysta



David Seidler – za najlepszy scenariusz oryginalny.

Teraz warto przyjrzeć się całej produkcji od nieco bardziej technicznego i aktorskiego punktu widzenia. Sceneria ukazana w filmie jest niesamowicie wiarygodna i klimatyczna – scenografia bardzo skromna, nieprzystająca tym samym fabuły oraz istoty filmu, będąca jednocześnie większym wyzwaniem dla aktorów, którzy musieli stanąć na wysokości postawionych przed sobą zadań, co moim zdaniem zdecydowanie udało im się osiągnąć. Scenariusz Seidlera nie bez powodu został doceniony przez Akademię Filmową – akcentujący szeroki wachlarz sposobów porozumienia się postaci, zbalansowany, przeplatający ze sobą wątki poważne, odgrywające szczególnie ważną rolę, oraz humorystyczne, rozładowujące napięcie w często niespodziewanych momentach i, przede wszystkim, w nieoczekiwany, bardzo oryginalny sposób – szczególnie w przypadku bohatera granego przez Geoffrey’a Rusha, będącego najbardziej humorystyczną a jednocześnie niezwykle cyniczną i sarkastyczną postacią.

Skoro doszedłem już poprzez tekst do charakterów budujących fabułę filmu, przede wszystkim muszę poświęcić parę słów Colinowi Firthowi, odtwórcy pierwszoplanowej roli. Firth, niedawno dopiero tak naprawdę szczególnie doceniony, wcześniej uznawany za dobrego aktora, jednak koja-

zonego z niekoniecznie zasłużonymi produkcjami, pokazał, że potrafi odnaleźć się w każdej roli, a postać jakającego się księcia Jorku nie stanowi dla niego wyjątku. Rola ta postawiła przed aktorem duże wyzwanie, wymagając dodatkowych przygotowań, co niosło za sobą również sporą dawkę ryzyka. Wiarygodność – oddająca właściwie wszystko, co można na temat roli Firtha powiedzieć – z jaką Colin wcielił się w swojego bohatera jest głównym powodem, dla którego został nominowany do najbardziej prestiżowej nagrody filmowej i ją wygrał – podobnie jak Złotego Globa, tym razem w kategorii najlepszego aktora w dramacie. Helena Bonham Carter wcieliła się w rolę niezwykle uroczej, wprowadzającej do filmu ciepłą atmosferę królowej. Aktorka przedstawiła swoją dowcipną, wytworną, kochającą i pełną wdzięku oraz klasy postać w sposób bardzo autentyczny, a fakt, że nie została nagrodzona, nie umniejsza jej sukcesu, ponieważ, moim skromnym zdaniem, królowa Elżbieta to kolejna genialna rola Carter, a z tą opinią powinien się zgodzić przynajmniej każdy miłośnik Burtona. O Rushu pokrótce wspominałem już wcześniej przy omawianiu scenariusza filmu.

Ostatnimi czasy powstało wiele produkcji, poruszających temat monarchii brytyjskiej, m.in. „Królowa” z Helen Mirren (laureatką Oscara z 2007. roku), „Elizabeth” z Cate Blan-

chet czy serial „Dynastia Tudorów”, tak więc „Jak zostać królem” dołączył do sporej grupy tego typu produkcji, a czy jest, z braku lepszego słowa, lepszy od innych, to pozostawię w tym miejscu do oceny osobom, które przeczytają tę recenzję, a które nie oglądały do tej pory filmu i zamierzają to wkrótce zrobić. Nie chciałbym zdradzać wszystkiego, tak więc po prostu szczerze zachęcam do obejrzenia najnowszej produkcji Hoopera, bo naprawdę, wiercie mi, warto zabiegać o tego typu doświadczenia.

*„When God couldn't save The King, The Queen turned to someone who could”*

*Michał Kornatowski*

## 127 godzin

Od momentu, kiedy technika światowa się na tyle rozwinęła, że ludzie zaczęli kręcić filmy – coraz lepsze, doskonalsze i wymowniejsze, stały się one największą konkurencją dla książki. Jest to szczególnie widoczne dziś, w dwudziestym pierwszym wieku, kiedy ludzie coraz mniej czytają, a coraz więcej swego czasu spędzają przed telewizorem lub w kinie. Na to składa się również fakt, że ostatnio jest moda nie tylko na sam film, ale i na ekranizowanie jakichś sztandarowych utworów, co na przykład ostatnio się dzieje w Polsce. Kiedy młody człowiek ma do wyboru czytanie książki przez parę dni lub obejrzenie jej adaptacji w przeciągu dwu, może trzech godzin – z reguły wybiera to drugie rozwiązanie, odrzucając książkę w kąt a starając się poznać jej treść z obrazu filmowego. Jednakże najczęściej zdarza się tak, że film nie oddaje w pełni tych wszystkich wartości, jakie ma w zanadrzu książka, nie obrazuje całego uroku i wdzięku dzieła literackiego, które jednak posługuje się wszechmocnym orężem, jakim jest język. Dlatego najlepiej jest najpierw zapoznać się z książką, przeczytać ją dokładnie a później utrwalić sobie jej treść i problemy, oglądając film nakręcony na jej podstawie. “

„127 godzin” to ekranizacja książki: “Between a Rock and a Hard Place” Arona Ral-

stona. Główny bohater to na co dzień zwyczajny szary człowiek, w weekend przemieniający się w globtrottera, który powraca do natury, by przeżyć „prawdziwe” emocje. „127 godzin” to film o walce z samym sobą, kiedy ograniczenia okazały się wyzwalające. Cywilizacja uczyniła nasze życie bezpiecznym, lecz nasz organizm wciąż potrzebuje zastrzyku adrenaliny, jak w dawnych czasach, kiedy nasi przodkowie uciekali przed drapieżnikami. To poczucie spełnienia pozostało w nim, w bohaterze, w człowieku, na zawsze. To punkt odniesienia w jego życiorysie, chwila, którą nieświadomie próbuje odtworzyć jako dorosły już mężczyzna. Jest to symbol emocjonalnej niedojrzałości i pierwotnej potrzeby bliskości.

Spokojną, czasem nawet melancholijną historię przeci-

nają nam przerywniki w postaci wspomnień Arona, nagrań z kamery czy specjalnych efektów dźwiękowych. Cenię sobie filmy, które nawet, jeśli przerywają jakąś scenę swoistą wstawką, to robią to tak dyskretnie i delikatnie, że nie denerwujemy się, kiedy coś zostało przerwane w najmniej spodziewanym momencie. Zanim miejsce akcji zawęzi się do pułapki, w którą wpadł Aron, nasycimy oczy malowniczymi krajobrazami stanu Utah. Zdążymy poznać i polubić zwariowaną naturę bohatera. Ale tym, co po kilkunastu minutach najbardziej przyciągnie uwagę, jest właściwie jednoosobowy pokaz umiejętności aktorskich. James Franco solidnie wywiązał się z zadania, bo to na nim skupia się przez większość czasu oko kamery. Dysponował minimalnym polem, w obrębie którego mógł się poruszać, miał mniej niż







zazwyczaj okazji do pokazania spektrum swoich możliwości. Przez większość filmu widzimy jedynie twarz aktora, nie może on posiłkować się gestem, nie ma interakcji z innymi postaciami.

Podsumowując, chciałabym powiedzieć, że mi ta adaptacja przypadła do gustu i oglądałam ją z zacięciem. Zresztą, jak można zauważyć, w swojej wypowiedzi właściwie nie wytknęłam żadnych błędów ekipie pracującej nad filmem, ale muszę obiektywnie stwierdzić, że nie wszyscy moi znajomi podzielali moje zdanie i byli pełni tak pozytywnych uczuć jak moje i szybko okazało się, że opinie na temat „127 godzin” są bardzo różne. Gdybym i ja miała się do czegoś przyczepić, to muzyka, która, mimo że była niezwykle interesująca i podkre-

ślała atmosferę filmu, może od czasu do czasu trąciła monotonią, co po jakimś czasie mogło wywoływać znużenie u widza, ale nie jest to jakiś olbrzymi zarzut, tylko kwestia, do której mogłabym mieć ewentualnie jakieś zastrzeżenia, gdyby ktoś uparcie chciał je ode mnie wyciągnąć. Mimo to uważam, że przy tylu pozytywnych aspektach nie ma to większego znaczenia.

„127 godzin” to film ciężki, momentami lekko odrywający od otaczającego nas świata, ale jest to historia prawdziwa człowieka uwięzionego w kanionie, który się nie poddał, nie załamał i walczył do końca. Ona nie ma za zadania chwytać widza za serce, ma za zadanie pokazać w pełnej krasie historię Arona Ralstona. Pomijam fakt, że robi to w wyjątkowym stylu, co jest także

kolejną pozytywną cechą. Ciężko oczywiście sądzić powyższe, nie mając możliwości przeżyć owych wydarzeń samemu. Nie chodzi tu jednak o dramat realny, ale o dramat filmowy, taki, który potrafilibyśmy przenieść na grunt własnej świadomości. W tym przypadku z przyjemnością sięgnę po książkę, na podstawie której ten film jest nakręcony. Być może niespodziewanie odkryję, że tam, między skałami, było coś więcej i było to, czego nie pokazano w filmie.

*Ewelina Wolska*



## Kiedy sen nie różni się od jawy

Wiemy, że mamy do czynienia z „Incepcją”. Wyobraźnia jest niepowtarzalnym atutem człowieka, który dzięki niej w pewien metafizyczny sposób uwalnia się od barier, wychodzi z zamkniętych schematów i ram. Wyobraźnia umożliwia i odkrywa przed człowiekiem to, czego nie może doświadczyć w życiu codziennym. Za jej pomocą może stworzyć w swojej głowie niemalże wszystko, od najmniejszych obiektów i szczegółów aż po sceny monumentalne, światy, gdzie natura jest pozbawiona swojego uprzywilejowania, determinującego jej wpływu na istnienie życia i absolutnie nowe rzeczywistości. Za potwierdzenie tezy wysnutej powyżej można uznać najnowsze dzieło, które wyszło spod ręki sławnego filmowca, Christophera Nolana.

Nolan wyreżyserował film z gwiazdorską obsadą, która – odgrywając poszczególne, dobrze przemyślane przez scenarzystę bohaterów – będzie nam towarzyszyła przy poznawaniu wielu miejsc rozsianych po globie,

ale również prowadziła przez zawile warstwy snu i światy wytworzone przez wielu bohaterów, ale szczególnie przez imaginację Roberta Fischera granego przez Cillianą Murphya.

Dom Cobb (Leonardo DiCaprio) jest wyjątkowo sprawnym złodziejem, który specjalizuje się w wykradaniu myśli, najgłębszych sekretów ukrytych głęboko w świadomości podczas fazy snu, czyli wtedy, kiedy umysł jest najbardziej podatny na ingerencję z zewnątrz i najbardziej wrażliwy. Dostaje on pewnego razu niepowtarzalną propozycję, a zarazem zlecenie przeprowadzenia iniekcji, czyli nie kradzieży, a zaszczepienia myśli, idei, która miała się rozrosnąć i zmienić przebieg dotychczasowego życia spadkobiercy energetycznej fortuny, Roberta Fischera. Zlecenie, które zostało narzucone przez wpływowego Japończyka, Saito, człowieka chcącego, aby Robert zrujnował dorobek życia swojego ojca, zostaje zaakceptowane przed Doma, gdyż wykonanie

go zagwarantowałoby mu powrót do domu, gdzie przez lata miał zakaz wstępu, co jest skutkiem popełnionego przed laty błędu.

Cobb, przystając na propozycję, zbiera krąg zaufanych, biegłych w poruszaniu się w kreowanej przez ludzkie umysły rzeczywistości, ludzi, również zawodowców w swojej osobliwej dziedzinie. Tym samym w centrum akcji widzę będzie mógł obserwować sześciu bohaterów zmagających się z zadaniem zaszczepienia nowej idei i umysłem Roberta Fischera, który będzie się bronił w sposób taki, jakiego nie przewidzieli zamachowcy, przysparzając im wielu problemów i wyzwań przybywających wraz z zagłębianiem się w kolejne warstwy snu.

Nie na darmo film został uhonorowany Oscarem za najlepsze efekty specjalne na 83. gali rozdania Oscarów, ponieważ trzeba przyznać rację jury i chylić czoło przed grafikami komputerowymi, którzy nadążyli za wyobraźnią reżysera, oddając widzowi do oglądania niesamowicie dopracowany obraz i przeniesioną na ekran inwencję twórczą autora. Każdemu, kto obejrzy film, na długo zapadnie w pamięci scena paryska, gdzie w krótkim momencie całe niebo pokrywa się odwróconą i skierowaną w kierunku ziemi częścią Paryża, tworząc swoistego rodzaju dach nad tą, która stoi nieporuszona. Hollywoodzka produkcja musi mieć czym zachwycić i niewątpliwie „Incepcja” zachwyci grafiką, ale każda oso-



ba myśląca, że to koniec nie-  
spodzianek, jakie może nam  
zagwarantować owy film, jest  
w błędzie.

Na pochwałę, która jed-  
nak nie znalazła potwierdzenia  
na gali rozdania Oscarów, za-  
sługuje scenariusz, który jest w  
pełni oryginalny, w co począt-  
kowo ciężko uwierzyć, gdy z  
zapartym tchem widz obser-  
wuje mnogość wydarzeń. Plus  
sem jest przede wszystkim do-  
brze przemyślany sposób połą-  
czenia poszczególnych scen i  
wizji w spójną całość, która  
gwarantuje nam 145 minut  
spędzonych w bogatszej rze-  
czywistości.

Hans Zimmer to nazwi-  
sko bardzo dobrze znane na  
rynku muzycznym i wśród bli-  
żej zainteresowanych muzyką  
filmową. Stworzył muzykę do

wielu filmów, w tym do  
„Piratów z Karaibów” i  
„Sherlocka Holmesa”, a jego  
ostatnim dokonaniem jest wła-  
śnie opracowanie ścieżki  
dźwiękowej do „Incepcji”.  
Przez czas trwania filmu widz  
będzie mógł usłyszeć dwana-  
ście unikatowych utworów,  
zrobionych tylko na rzecz fil-  
mu. Kunszt mistrza muzyki  
filmowej słyszalny jest już od  
pierwszych minut filmu, zaś  
apogeum zachwytu można  
osiągnąć, przynajmniej w mo-  
im przypadku miało to miej-  
sce, podczas słuchania piosen-  
ki „Time”, która pojawia się  
raz w trakcie trwania filmu, a  
jednocześnie go kończy, powo-  
dując w odbiorcy uniesienie,  
które zostaje wywołane przez  
stanowcze i tryumfalne dźwię-  
ki, ale jednocześnie nakłaniają-  
ce do kontemplacji zdarzeń i

historii, w którą przed zaled-  
wie dwoma godzinami się za-  
głębialiśmy i ją poznawaliśmy.

„Incepcja” zajmuje bar-  
dzo silną pozycję wśród najlep-  
szych filmów roku 2011. Jest to  
film, który powinien wpisać się  
do kanonu kina z racji swojej  
niepowtarzalnej fabuły, ale  
również umiejętności zgrabne-  
go połączenia cech hollywo-  
odzkiego kina, które kładzie  
spory nacisk na przedstawiany  
obraz i efekty specjalne z ce-  
chami filmu, który potrafi wy-  
wołać w odbiorcy spory odzew  
emocjonalny i zmusić go do  
zaangażowania się w akcję, co  
tym samym czyni go jednym z  
ciekawszych odkryć dzisiejszej  
kinematografii.

*Damian Brudzyński*



## Prawdziwe Męstwo

Czym jest „Prawdziwe męstwo”? Westerno-dramatem wyreżyserowanym przez braci Coen – Joela i Etana. Chcieli oni wprowadzić w ten sposób klimaty Dzikiego Zachodu na nowoczesne, chociaż chyba lepszym określeniem byłoby – teraźniejsze, ekrany. Film powstał na podstawie książki o tym samym tytule, a także na podstawie filmu Henry’ego Hathaway’a z 1969 roku o błyskotliwym tytule „True Grit” co można przetłumaczyć na: „Prawdziwe męstwo”. Jak braciom Coen udało się przeniesienie świata westernu w XXI wiek?

„Prawdziwe męstwo” zaczyna się od... małej, niepozornej dziewczynki o imieniu Mattie Ross (w tej roli Hailee Steinfeld)! Jak się jednak później okazuje, nie jest ona taka niepozorna... Niedawno zmarł ojciec Mattie i czuje się ona zobowiązana do rozwiązania jego przedśmiertnych problemów. Jest to jednak tylko pretekst, by zostać w mieście, z którego chce zacząć poszukiwania zabójcy jej ojca – Toma Chaney’a (Josh Brolin). Mattie do tego celu poszukuje szeryfa – chce znaleźć tego najgroźniejszego, najniebezpieczniejszego, najlepszego w swym fachu – trafia na Reubena J. „Roostera” Cogburna (Jeff Bridges). Zgadza się on jej pomóc, gdyż razem z Tomem

Chaney znajduje się dawny wróg Reubena – Lucky Ned Pepper (Barry Pepper). Do naszej dwójki dołącza też tajemniczy LaBoeuf (Matt Damon) – szeryf z Teksasu mający do Chaney’a prywatne sprawy. W tym składzie bohaterowie mogą w końcu ruszyć na niebezpiecznie terytorium Indian w poszukiwaniu przygód.

Pora teraz na część subiektywną. Film powalił mnie swoim realizmem. Klimat jest prawie dokładnie taki, jakiego się spodziewałem – drewniane domy, wszędobylski kurz, staromodne ubiory – prawdziwy western. Charaktery postaci są też bardzo wyraziste: Mattie, mimo młodego wieku, jest bardzo stanowcza i bezwzględna, Reuben jako doświadczony szeryf pozwala sobie na pogardę wobec innych, jest też alkohikiem, LaBoeuf natomiast

jest honorowym, odważnym i pewnym swego kowbojem. Charakteryzacja też jest niczego sobie. Efektów specjalnych zbyt dużo nie ma, więc tę część sobie odpuścimy. Zostawimy też muzykę, w którą się nie wsłuchiwałem, bo oglądałem film, lecz pewnie też jest genialna;)

Przejdźmy do gry aktorskiej, która jest niezmiernie! Jeszcze nigdy nie widziałem takiego Jeffa Bridgesa! Facet jest strasznie wiarygodny, mówi z akcentem, jego ruchy, mimika i inne elementy sztuki aktorskiej mają znamiona ideału. Cudo. Reszta zresztą wcale od niego nie odstaje. Hailee Steinfeld – miałem wrażenie, że ona nie gra, że Mattie Ross jest jej alter-ego. Matt Damon też zasługuje na pochwały i powiem, że chciałbym go zobaczyć jeszcze kiedyś w jakimś





westernie zamiast następnej „Krucjaty Bourne’a” albo „Bourne: Reaktywacja”, albo obrazie (tylko to będzie przesada) „Władca Pierścieni: Powrót Bourne’a”. W tej części chciałbym też wspomnieć o Barry’m Pepperze. Jest tutaj tylko postacią epizodyczną. Jakby ktoś nie kojarzył po nazwisku, to jest to ten, który grał jednego ze strażników w „Zielonej Mili” – Deana Stantona. Gdy byliśmy w kinie mama mi powiedziała, żebym mu się uważnie przyjrzał. Jest tak dobrze ucharakteryzowany, że w ogóle nie przypominam samego siebie. Poznałem go jedynie po oczach i jed-

nej z min.

Na ten film naprawdę warto iść. Mimo że nie dostał żadnego Oscara, to jest to jedna z lepszych produkcji, jakie kiedykolwiek widziałem. Na „Prawdziwym męstwie” byłem w kinie. Usiadłem sobie wygodnie w fotelu, wziąłem naciocy na kolana i zacząłem oglądać. Oglądałem i oglądałem, a kiedy w końcu spojrzałem na zegarek, okazało się, że zostało jedynie 10 minut. Nie wiem, gdzie i kiedy zleciał mi ten cały czas, wiem, że byłem strasznie zainteresowany tym filmem i nawet nie chciałem

spojrzeć na zegarek, żeby nic nie stracić. Najlepszą rekomendacją, jaką mogę wymyślić, jest: Bez zawahania poszedłbym na „Prawdziwe męstwo” po raz drugi i jest pewien – nie nudziłbym się.

Krzysztof  
Konstantinow

## Scott Pilgrim vs. The World

*We're Sex Bob-Omb's and we're here to watch Scott Pilgrim kick your ass!*

Poznajcie Scotta Pilgrima. Ma 22 lata, jest nierobem i maniakiem komputerowym. Ponadto gra na basie w zespole punkowym, ma genialnego współlokatora geja i chodzi z 17-letnią licealistką. No, i nakręcono jeszcze o nim film, który stanowi największą pigułę pozytywnej energii od dawna.

*- Scott's mourning period is officially over. He's totally dating a high-schooler.*

*- Dating a high-schooler IS the mourning period.*

Film ów, **Scott Pilgrim vs. The World**, przeszedł w naszym

kraju bez echa, nie odwiedzając ekranów kin – co jest raczej dziwne, zważywszy na miliony, które zarobił w USA. Cóż, widać według dystrybutorów nasza widownia jeszcze nie dojrzała do takich tematów... Powyższe streszczenie bowiem nie oddaje nawet w połowie tego, czym jest ten film – genialną mieszkanką komedii romantycznej, społecznej groteski, musicalu, gry komputerowej i kiczowatego kina kung-fu. No i ekranizacją komiksu, o czym nie daję zapomnieć nawet na chwilę.

*- Break out the L-word.*

*- "Lesbian?"*

*- The other L-word.*

*- "Lesbians?"*

*- It's "love," Scott.*

Poznajemy historię Scotta Pilgrima – 22-letniego mieszkańca Toronto i jego problemów życiowych. Fabuła teoretycznie jest prosta – Scott ma dziewczynę, ale poznaje inną, która wydaje mu się Tą-Jedną-Na-Milion. By jednak zdobyć Ramonę Flowers, nasz bohater musi nie tylko „pozbyć” się swej aktualnej panny, ale też... pokonać Ligę Złych Eks Ramony. A dokładniej jej siedmiu Złych Byłych.

*- Where's Knives. Not coming tonight?*

*- No, we broke up. Hey, check it out, I learned the bass line from Final Fantasy II.*

Jeśli ostatnie zdania wydały



wam się dziwne, nie martwcie się. Taka jest fabuła tego filmu – to tylko pretekst do kolejnych pojedynków z Byłymi – pojedynków na śmierć i życie, w konwencji znanej z gier komputerowych a'la Mortal Kombat czy też... Mario. Walki te, nawiasem mówiąc, są chyba zrobione z największym rozmachem w całej historii kinematografii. Pamiętacie jeszcze Matrixa? Scott go przebija. 300? To samo. Sin City? Sztuczne i plastikowe. Efekty specjalne z Avatara? Leżą i kwiczą. Oprawa graficzna jest tu po prostu nie-sa-mo-wi-ta. Bo o ile Avatar był po prostu filmem S-F w 3D za miliony, to Scott jest czymś znacznie więcej, czymś znacznie bardziej oryginalnym. To naprawdę \*jest\* komiks, przeniesiony na ekran! Zresztą, wystarczy obejrzeć trailer na youtube.

*All right, this next song goes out to the guy who keeps yelling from the balcony. It's called We Hate You, Please Die.*

Ale ten film to na całe szczęście nie tylko feeria efektów specjalnych – Scott w końcu gra w zespole rockowym. I tak ścieżka dźwiękowa filmu zawiera zarówno zadziorne punkowe protest-songi, indie-akustyczne balladki, popowe klimaty a'la The Pixies jak i też przygrywające czasem w tle ciężkie electro. Razem z ogólnym szybkim tempem akcji, sprawdza się to genialnie.

*A 17-year-old Chinese schoolgirl? You're ridiculous.*

Lekkiej atmosferze seansu

sprzyja też humor – od slapstickowych numerów, przez paranoidalny „netowy” humor (atak wegan!) po wyrafinowane docinki słowne Wallace’a, współlokatora Scotta (genialny w tej roli Kieran Culkin, brat „Kevina samego w...” Culkina!).

Pod tym względem widać jednak dwie dosyć dokuczliwe wady filmu – po pierwsze, dobrze oglądać go w oryginale, bo w polskim tłumaczeniu dużo dobrych tekstów się po prostu gubi. Po drugie – humor ten zrozumiały będzie przede wszystkim dla osób młodych. Z drugiej strony – czy to źle? W końcu to nie jest film do oglądania z rodzicami, raczej z drugą połową (lub chociaż kandydatem/tką nań).

*Can't believe you're worried about me gaying up the place.*

Trzeba jednak przejść teraz do innych wad. Ogólnie gra aktorska stoi na genialnym poziomie (postacie Wallach’a, Ramony, Stephena...), kuleje jednak w jednym kluczowym punkcie – osobie głównego bohatera. Ja rozumiem, że miał być nieco ciamajdowaty i tak dalej, jednak Michael Cera ewidentnie z tym przesadził. Zamiast kibicować Scottowi w jego zmaganiach, gdzieś od połowy filmu człowiek sam ma ochotę prze-modelować mu twarz. No ale to kosmetyka. Znacznie bardziej denerwuje końcówka filmu – w ostatnich 20 minutach upchnięto tyle zdarzeń, powrotów, zdrad i pojednań, że przebija to chyba całą „Modę na sukces” z Lostem na dokładkę.

Jest to pewnie spowodowane chęcią wiernego przełożenia oryginalnego komiksu, który liczył 6 tomów po kilkadziesiąt stron. Mimo wszystko jednak fabuła pod koniec aż zanedo przyspiesza.

*Ramona dated twins? At the same time?*

Kiedy jednak przebrnie się już przez ten najeżony komputerowymi bajerami finał, można sobie usiąść w fotelu... i trochę o tym filmie pomyśleć. Bo mimo wszystko jest to dzieło mądre. Owszem, banalne perypetie chłopaka, który szuka dziewczyny i walczy o sławę na rynku muzycznym. Ale może o to właśnie chodzi? Bo historia Scotta jest uniwersalna i może stanowić dobrą lekcję o związkach dla każdego. I takie moje przemyślenia odnośnie warstwy „komputerowej” gry, pojedynków z Eks, onomatopei itd. – może to dowód na tworzenie się nowego modelu indywidualizmu, koniecznego wobec świata wypełnionego setkami milionów Ludzi Wyjątkowych? Indywidualizm, który akceptuje banalność życia, zadowolając się po prostu „doprawianiem” go Epickimi Motywami a'la Mistrzowie.org? Zarówno tymi powszechnie rozumianymi, jak i totalnie hermetycznymi?

Ale to już tylko moje gadanie. Lepiej po prostu skupić się na filmie i dziecięcej wręcz frajdzie towarzyszącej oglądaniu kolejnych starć Scotta z Eksami.

- Listen, I know you play mysterious and aloof just to avoid getting hurt. I know you have reasons for not wanting to talk about your past. I want you to know I don't care about any of that stuff because I'm in lesbians with you.

- What?

- I really, really mean it.

Szymon Zwierew

# Opowieści z Narnii. Lew, Czarownica i stara szafa

Akcja pierwszej części filmu, czyli „Lew, Czarownica i Stara Szafa” rozpoczyna się w domu Profesora, w którym mieszka czworo dzieci. Dzieci uciekły z bombardowanego Londynu. Uważają tajemniczy, stary ogród za idealne miejsce zabaw. Pewnego razu, kiedy bawią się w chowanego, dziewczynka o imieniu Łucja chowa się w starej szafie i poznaje jej tajemnice. Spostrzega, że stanowi ona przejście do innego magicznego świata. Łucja bez wahania postanawia poznać ten świat. Napotyka ona faunę, który ma na imię Tumnus, jest to dziwna postać.

Tumnus zaprasza dziewczynkę na podwieczorek i opowiada jej o tym świecie – tytułowej Narnii, gdzie panuje wieczna zima, a mimo to nigdy nie nadchodzi Boże Narodzenie, a rządzi nim zła Czarownica. Tumnus wie, że powinien odprowadzić dziewczynkę do Białej Czarownicy, jednak pozwala jej wrócić do domu. Łucja, zafascynowana tym światem, opowiada o wszystkim pozostałym dzieciom, jednak one nie chcą jej wierzyć, sprawdzają szafę i nie znajdują w niej nic niezwykłego. Twierdzą, że Łucja wszystko sobie wymyśliła, czym ostatecznie Edmund do-

prowadza ją do płaczu.

Kiedy dzieci po jakimś czasie znów bawią się w chowanego, Łucja ponownie chowa się w szafie, ale tym razem widzi to Edmund i postanawia pójść za nią, jednak w szafie nie spotyka Łucji, za to także przenosi się do krainy zwanej Narnią. Spotyka tu Białą Czarownicę, która właśnie przemierza swoją krainę. Biała Czarownica częstuje Edmunda czarodziejskim ptasim mleczkiem i wypytuje, skąd przybył. Kiedy dowiaduje się, że przyjaciół jest czworo, każe mu sprowadzić ich wszystkich. Edmund zgadza się, jednak po

powrocie do domu do końca nie wierzy w całą tę historię. Opowiada o wszystkim dzieciom i wspólnie decydują się poradzić Profesora. Profesor twierdzi, że zdarzyć może się wszystko, więc dzieci decydują się udać do Narnii.

Kiedy się do niej przenoszą, napotykają parę bobrów, od których dowiadują się, że do Narnii ma powrócić Lew Aslan i rozprawić się z Białą Czarownicą. Jednak ostateczne zwycięstwo zapadnie dopiero wtedy, kiedy na tronie Narnii zasiądzie dwóch Synów Adama i dwie Córy Ewy. Wskazuje na to, że chodzi o przybyłe dzieci, na które Aslan już czeka. Bóbr ma zaprowadzić dzieci właśnie do Aslana. Jednak Edmund wymyka się z chaty bobrów i idzie do Białej Czarownicy, ta jest rozwścieczona, że przybywa sam i przestaje już być miłą panią, za którą wziął ją Edmund. Wyciąga od Edmunda informacje o spotkaniu przy Kamiennym Stole i rusza do konfrontacji z Aslanem. Dzieci podążają za bobrem do Kamiennego Stołu. Po drodze napotykają pierwsze oznaki wiosny, a także św. Mikołaja, od którego dostają prezenty: Piotr otrzymuje tarczę i miecz, Zuzanna łuk oraz róg, a Łucja buteleczkę z magicznym eliksirem leczącym rany.

Kiedy dzieci docierają do Kamiennego Stołu, Aslan już na nie czeka wraz z innymi stworzeniami. Jednak po chwili pojawia się tam też sama Biała Czarownica, uznając Edmunda za zdrajcę. W ten spo-

sób przepowiednia nie może się wypełnić, jednak Aslan nie godzi się na to i przebacza Edmundowi. Piotr zostaje pasowany na rycerza i odesłany wraz ze swoją armią do Zamku Króla, a sam Aslan udaje się do Czarownicy, by ta wykonała na nim wyrok śmierci. Czarownica zabija Aslana i z radością rusza na armię Piotra. Jednak nie wie o tym, że Aslan nie może umrzeć. Lew odradza się jeszcze silniejszy. Aslan uwalnia zamienione w kamień przez Czarownicę leśnie stworzenia i rusza pokonać Białą Czarownicę.

Dzieci zasiadają na czterech tronach Królestwa, Aslan zaś ponownie znika. Kiedy dzieci odnajdują drogę do własnego świata, okazuje się, że minęło w nim zaledwie kilka minut.

„Opowieści z Narnii” to niezwykła historia przeznaczona nie tylko dla dzieci, ale dla ludzi w każdym wieku. Przedstawiony świat, choć tak odmienny od naszego, pokazuje pozytywne i negatywne aspekty naszej rzeczywistości. Każdy widz – poza samą przyjemnością oglądania – uświadomi sobie wiele rzeczy. Dla dzieci jest to bajkowy, niesamowity świat, w którym być może wiele z nich chciałoby żyć, dla młodzieży jest chwilą zastanowienia się nad rzeczywistością, w jakiej na co dzień żyjemy, ludziom dorosłym pozwala pokazać dziecięce marzenia i zastanowić się nad preferowanymi przez nas/nich wartościami.

Osobiście polecam ten film – myślę, że nie będziecie się nudzić podczas oglądania i serdecznie go zachęcam. Miłego oglądania ;)

*Eliza Kozłowska*



## Opowieści z Narnii – Podróż Wędrowca do Świtu

Tak, tak, tak! Tak, dziewczyny! Jest Księżę Kaspian! Czyż te trzy słowa nie mogą wystarczyć na recenzję całego filmu? :) Teoretycznie tak – dominujące żeńskie głosy liczą tylko na klatkę księcia (jednak mimo wszystko w tej części filmu jej nie uświadczymy), który przebił serce niejednej nastolatce... Jednak jako że nie będziemy tu mówić o wspólnym kryzysie męskości (tak, drogie panie, jest takie coś), skupmy się może na... cóż, hmmm... filmie? No niech będzie.

„Podróż Wędrowca do Świtu” to 3. film oparty na cyklu C.S. Lewisa „Opowieści z Narnii”. Jak się można spodziewać, kupując bilet do kina (ew. konto na torrentach...), dostajemy również wejściówkę do świata magii i czarodziejstwa. A nie, to nie ten film... W każdym razie mamy możliwość

ujrzenia tego, czego raczej nie oglądamy w drodze do szkoły np. minotaurów, faunów, księżniczek (choć czasami akurat o to można się spierać ;)), duchów i całej innej fantastycznej menażerii. Tylko elfów brakuje (elfek, elfek!). Tytułowy „Wędrowiec do Świtu” to nic innego jak nazwa statku dowodzonego przez (a jakże!) samego Księcia Kaspiana. Ale może po kolei...

Na wstępie, przykro nam jest pogodzić się z faktem, że Piotr i Zuzanna stali się dorośli i w filmie ich nie zobaczymy (bo są za duzi, i za mądrzy na takie głupotki jak jakaś Narnia). Przez to akcja skupia się wokół pozostałej dwójki odkrywców innego świata – Edmunda i Łucji. Ale żeby nie było zbyt nudno, dołącza do nich (trochę przez przypadek i całkowicie wbrew własnej woli) kuzyn o wdzięcznym imieniu Eustachy.

I to w zasadzie możemy uznać za dość spektakularny wstęp, na który składają się widoki

krajobrazów morskich i samego statku. Nic zaskakującego, tym bardziej, że Kaspian nadal nie pokazał klaty...

Generalnie chodzi o to, że: było dobrze, przyszedł „ten zły”, narobił zamieszania i teraz jest źle, a tylko wy możecie nam pomóc i przepędzić złego ducha (apage satanas!). Jasne. Oryginalność fabuły powala niczym 1000 kiloton, jednak pretensje do scenarzysty możemy mieć dość niewielkie, w końcu film, było nie było, bazuje na książce, tak więc największe gromy powinny spaść na głowę Lewisa (choć mimo wszystko czuć powiew komercji i pójścia po linii małego oporu). Jednak jako że o nieobecnych powinno się mówić albo dobrze, albo wcale, to uznajmy, że resztki kreatywności jeszcze nam zostały... (resztki, okruchy... naprawdę bardzo niewiele...)

Cóż dalej? Akcja właściwie zaczyna się w momencie, kiedy to załoga statku dociera do czegoś w rodzaju kolonii księstwa Kaspiana. Dotąd tętniąca życiem osada zamarła. Coś się stało! Trzeba to sprawdzić! (skąd my to znamy...) Na miejscu okazuje się, że wyspę zawładnęli handlarze narkotyków, znaczy ten... niewolników. Tak więc ludzie chowają się, gdzie mogą, żeby nie dać



się złapać. Jednakże bohaterowie nie byli na tyle sprytni, żeby uciec i oczywiście dają się złapać. Na szczęście pozostała część załogi podejmuje próbę odbicia towarzyszy niedoli i nawet (o dziwo!) im się to udaje... Po tym oczywiście cała szajka handlarzy jest zapewne wyrzynana w pień (choć na ekranie nie pojawia się ani jedna kropla krwi), następnie wiwaty, fanfary, okrzyki, brawa etc. dla wybawicieli. Wyspa wyspą, ale ludzie, którzy do tej pory zniknęli, nie wrócili.

I tak akcja leniwie posuwa się do przodu niczym w klasycznych grach RPG... Zrób to, zrób tamto, zrób jeszcze tamto, żeby można było zrobić to poprzednie drugi raz i tak do końca filmu... „To”, „tamto”, „jeszcze tamto” to miecze lordów Narnii, którzy w tajemniczy sposób zniknęli. Każdy z nich miał sworda posiadającego fajny jelec i... w zasadzie to wszystko. Żadnej księżycowej stali, żadnych czarów runicznych +50 do many. Zwykły miecz, tyle że bardzo stary. Jak już nietrudno się domyślić, akcja filmu będzie się kręcić wokół odszukania owych legendarnych broni, bowiem, gdy wszystkie razem się złączą, to (nie, nie przyzwiemy Kapitana Planety) uda nam się przepędzić zło z krainy i odtąd będzie już wszędzie szczęście, miłość i tolerancja. A Kaspian nadal chodzi cały czas w mundurze marynarki czy czymś podobnym...

Cóż... ocena tego filmu jest dość trudna. Bo mimo wszyst-

ko są plusy jak np. bardzo ładna sceneria, przekonująca gra aktorów, do tego bardzo klimatyczna muzyka plus, jeśli chodzi o wersję polską, to według mnie dobrze dobrany dubbing. No i jeszcze to coś, co sprawia, że po zakończeniu pokazu mamy materiał do przemyśleń w głowie na dość różnorodne tematy – poczynając od kwestii własnej tożsamości, a kończąc na tym, co może zmienić naturę człowieka. Oczywiście odpowiedzi w filmie nie dostajemy, ale ziarno zostało zasiane i warto o nie dbać, tym bardziej, że niewiele jest teraz takich produkcji, które wymagają włączenia mózgu nie tylko w kolejce po popcorn, ale też tuż „po”.

Jednak są też i minusy, a największym z nich jest totalnie sztampowa fabuła, której zakończenia możemy się domyślić po 15 minutach filmu. Można się kłócić, że tak musi być, bo takie są teraz wymogi, taka moda i w ogóle, bo zaraz 2012, więc trzeba zrobić kasę. Ale czy naprawdę pobierając pensję tak na oko 100-150 tys. \$, scenarzyści nie mogli by się trochę wysilić? Ot, chociażby jakiś wątek miłosny np. romans Łucji z minotaurem czy jakoś tak... A tak na serio, to po wyjściu z kina bardzo żałowałem, że nie było mi dane zobaczyć tego, co w fantasy (czyli poniekąd umagiczonym średniowieczu) najlepsze, czyli wielkich bitew na 100.000 chłopów, czarodziejek (elfek!) i „tego czegoś”, jakiegoś magicznego elementu, który by odróżniał „Opowieści...” od dziesią-

tek produkcji z tego przedziału gatunkowego. Szkoda, bo nie można oprzeć się wrażeniu, że dało by się jeszcze coś wycisnąć z tego filmu. A tak... może w następnej części... ;)

Kamil Fijałski

## 51. Stan



Przedmiotem recenzji jest gra karciana „51. Stan”, która bazuje fabularnie na bardzo popularnym polskim systemie RPG, jakim jest Neuroshima. Została ona po raz pierwszy zaprezentowana na targach w Essen w październiku 2010 roku. Autorem jest Ignacy Trzewiczek, współtwórca takich gier jak Witchcraft, Stronghold oraz almanachów do gier RPG „Graj...”. Aby lepiej wprowadzić w klimat, omówię najpierw ten system. Cała historia dzieje się w USA po wielkiej wojnie, jaka miała miejsce na Ziemi w 2020 roku. Nikt nie wie, co dzieje się poza kontynentem. Kilka lat po jej wybuchu pojawił się Moloch, czyli zbuntowane maszyny, które zaczęły walczyć przeciwko ludzkości. Sama ludzkość upadła i niewielu zostało przy życiu. Wszystko zostało do-

szczętnie zniszczone, a jedynne, co pozostało, to ruiny, bunkry i pustynie po wybuchach jądrowych. Moloch stosuje bardzo wyrafinowane metody np. zastraszanie lub obniżanie morali. Wielu ludzi uważa, że to jest coś więcej niż tylko maszyna. Potrafi się uczyć i rozumie ludzkie odczucia np. strach. Wykorzystuje to, tworząc maszyny zawierające ludzkie części ciała oraz atakując daleko za linią frontu. Dodatkowo na północy buduje potężne miasto – fabrykę, ciągle się rozrastające i pochłaniające nowe terytoria, które kiedyś należały do ludzi. Innym zagrożeniem są również mutanci, a niektóre z nich są tak niebezpieczne, że mogą doprowadzić do śmierci wszystkich ludzi w małej wiosce... Od południa naciera z kolei Neodżungla – rośliny również pragną ugrać coś w tej wojnie... W nowym świecie nic nie jest pewne. Wrogami są maszyny, zwierzęta, roślinność, mutanci... oraz ludzie...

Po krótkim wstępie należy wspomnieć coś o mechanizmie rozgrywki. Przyznam szczerze, że początkowo miałem trudności z przyswojeniem zasad gry. Jest w niej bardzo dużo zależności pomiędzy poszczególnymi kartami. Poza tym nie do końca jasny był dla mnie system przyznawania punktów. Jednak po rozegraniu kilku partii wszystko szło o

wiele sprawniej. Dostępne są 4 frakcje: Nowy Jork, Federacja Appalachów, Sojusz Mutantów oraz Gildia Kupców. Każda z nich posiada cechy, które odróżniają je od innych. Gra polega na zbieraniu Punktów Zwycięstwa, które otrzymuje się za wystawianie kart, przywódców oraz na wiele różnych konkretnych sposobów. Do tego potrzebne są oczywiście zasoby, którymi są: broń, części oraz ropa. Innego rodzaju zasobem są żetony przebudowy. Dodatkowo w wyniku różnego rodzaju akcji można otrzymać premie np. do napadu lub przyłączenia. Na początku każdej rundy gracze wybierają karty, które są na głównym stole. Biorą je do ręki, lecz nie mogą mieć więcej niż 10 kart. Potem następuje faza produkcji, w której gracze zdobywają surowce, generowane przez budynki oraz kwaterę główną. Później (w fazie Akcji) poprzez karty kontaktu (Podbój, Współpraca oraz Przyłączanie) mogą zdobyć karty, lokacje lub dodatkowe zasoby. Zasoby jednak przepadają po zakończeniu rundy. Gra kończy się, gdy którykolwiek z graczy przekroczy próg 30 punktów. Wówczas podliczane są po raz ostatni punkty, a wygrywa gracz mający ich najwięcej.

Gra jest warta polecenia ze względu na rozmiary. Pułdelko jest niewielkie, a części zestawu (talía oraz żetony) nie

## *Recenzje*

zabierają dużo miejsca. Można spokojnie wziąć tę grę ze sobą na wycieczkę lub do szkoły. Warto też podkreślić ilość możliwości, jakie ma „51. Stan – każda rozgrywka jest inna i ciężko ułożyć jej uniwersalną strategię działania. Trzeba planować na bieżąco, ale również zmyślnie.

Moim zdaniem gra jest bardzo udaną produkcją. Duża losowość sprawia, że każda rozgrywka jest inna. Może w nią grać nawet do 4 osób, więc da się w ten właśnie sposób spędzić czas ze znajomymi. Rozgrywka trwa od 40 do 90 minut. Pomimo że zasady wydają się na początku trudne,

warto zainwestować w tę grę.

*Dariusz Gołębiowski*



## **Aktor całe życie**

Jestem zwierz foremny

manipulant

żeruję na konwenansach

wypatruję schematy

uderzam w normę

nurzam się w niej

czuję jak ryba w wodzie

biorę co chcę

pierwszy gardluję za wolnością

ostatni porzucam grę

w sumie dobrze mi tu

być wilkiem wśród baranów

łatwy żer

wystarczy odstawić poważniejsze

cele

*Szymon Zwierew*

## **Było, jest, będzie**

Rozdziela mnie

Klin wbity głęboko w ciało

powoli rozszczepia tkanki

rozrywa na strzępy

to co - było -

dawno

to co - jest -

w rozsypce

to co - będzie -

niczym

przestaję zgarniać części Mnie

pozwalam memu ciału się rozlecieć

za nim pójdzie wszystko

co było, co jest

co będzie

rozpłynę się w tym

czego nie będzie

*Szymon Zwierew*

## Coś niecoś

Coś niecoś.

Tyle jestem Ci winien.

Coś niecoś.

Choć w sumie też się nieco  
wysiłem.

Wypożyczyłem twarz

z gamą reakcji

zamówilem na kredyt wyjście

(szczęście, pamiętałem wyłączyć za sobą

...gaz, światło, głowę)

Dobrze, że nie powiedziałem

że jesteś najlepszym klientem

Bo ty po prostu jesteś.

Nic więcej.

Ale coś niecoś.

Tyle wystarczy w zapłacie.

Coś niecoś.

*Szymon Zwierew*

## Głaz

nie do szczęścia stworzony jest głaz

nie do łez

on opoką innych jest

nie do życia ideałów planów marzeń skry-  
tych

czy tęsknoty

czy kochania

on opoką wszystkich jest

*Jakub Nowak*

## Nadzieja

Ponura siedzę na kanapie,

malując paznokcie.

Niewidomym wzrokiem błędzę

po ścianach smutnego pokoju.

Słyszać tylko rozmowy w telewizji

i pędzelek sunący po moim paznokciu.

Nagle słyszę dzwonek do drzwi.

Z nadzieją w sercu znów się

zawiodłam.

To sąsiadka chce

pożyczyć cukier.

*Julia Stolpa*

## Z mokrą głową

Chęci wielkie, to mózg mały -  
wielkie myśli się sypały  
jak pieniądze w totolotku.  
Jedna była jak powinna  
lepszą niżli każda inna.  
Lecz stanęła w mózgu środku.

Cóż więc począć, gdy myśl wielka  
miejsca ma jako brukselka?  
Na nic skargi, na nic żale  
do Wielkiego Niebieskiego.  
Nie poradzi i Bóg wcale,  
gdy z naczynia dziurawego  
do kubeczka, też z dziurami,  
wlewać chce oceanami.

Więc napinam się i wzdynam,  
oddech w płucach dłużej trzymam.  
Twarz czerwona jest już cała,  
od wysiłku mięśnie miękną,  
krew rozsadza żyłę cienką...  
a myśl stoi tak jak stała.

Lecz po chwili i o dziwo:  
żeś naważył - wypij piwo.  
Potok myśli nieprzebranych -  
środkiem mojej głowy płynie -  
powiedzonek dobrze znanych,  
z których wielu mądrych słynie.  
Potok spłynął, myśl została,  
no i stoi tak jak stała.

Ja, na skraju wyczerpania,  
ledwo się na nogach ślaniam.  
Jednak dalej walczyć będę  
w małej głowie z wielką myślą.  
Chociaż stoi coraz ściślej  
myśl na zewnątrz wydobędę.

Coś strzyknęło, coś ruszyło,  
tuman kurzu w czasie wzbiło.  
Nim kurz opadł padłem pierwszy  
zamroczony myśli miarą.  
Lecz jej dźwięk się przebił wreszcie:  
"Głodny jestem"

*Jakub Nowak*

### \*\*\* (Melancholia)

\*\*\*

Melancholia znów otworzyła drzwi  
Stały wspomnienia przed oczami mi  
I stojąc nad drzwiami ich progiem  
Zastanawiam się, czy jesteś mi przyjacielem...  
... czy wrogiem?

I w pytaniu tym popadam w zadumę jeszcze  
większą  
Czy byłeś jedną z wielu...  
... czy miłością pierwszą?

I tak pytania utkwione w mej głowie  
Krążą, aż ktoś mi na nie odpowie

I szukając odpowiedzi w otchłani popadam,  
Dochodząc do pytań...  
...Kto zawinił? Ewa, czy Adam?  
Chwytam...

Tak chwytam, więc dzień jak powietrze  
Popadając w otchłań i zadumę  
Jeden po drugim metrze...

Bartek Więckowski

### Serce mi bije

\*\*\*

Serce mi bije  
myśli uciekają  
przegrywam walkę  
lecz ją wygrywam  
Wokół widzę twarze zwycięzców  
i cieszę się  
że jestem inna

*Julia Stolpa*



## Fatamorgana

Dlaczego? Po co? Czy?

Czy to ty jesteś winna?

Nie myślę że chyba,

Mam taką nadzieję,

Nie choć patrzę ci prosto w oczy

I się śmieję.

Myślisz będzie lepiej

Mydlisz moje oczy

Marzeniami bez szans

Czeszesz nimi włosy

Chociaż nie powinnaś

Zapominać, że to

Chodzą mi po głowie takie myśli

Takie słowa, że słów szkoda

Taka nasza mała fatamorgana

Prześpijmy się zapomnimy do rana

Zamykam się w sobie

Zamykam żar ognia

Zamykam w sobie na dzikich gęsi klucz

Twoje myśli, które

Chodzą ci po głowie

*Weronika Niemirska*

I Twe słowa, że słów szkoda

Szkoda, i tak rozłyną się one...

Wokół nas tylko gwar

Zamknij proszę usta

Zamknij proszę oczy

Zamknij proszę uszy

Zamknij proszę serce

Dla nich, otwórz dla mnie

Żli ludzie rozdzielili nas wczoraj

Została już tylko zieleń drzewa

No i słowa, że słów szkoda...

## Wojna tytanów

### Wojna Tytanów

Wszystko zaczęło się pewnego czerwcowego wieczoru. Byłam wtedy na balkonie i, wzdychając do mojego wymagowanego chłopaka, wpatrywałam się w piękne gwiazdy przyozdabiające granatowoczarne niebo. Było to jedyne miejsce, w którym choć na chwilę mogłam zapomnieć o problemach, z jakimi zmuszona byłam borykać się każdego, nudnego dnia. Popijając gorącą herbatkę, odpowiednio z dwiema łyżeczkami cukru, czułam się naprawdę szczęśliwa i spełniona. Cały ten ciewieczorny rytuał przypominał mi kolejną scenę z taniego, romantycznego filmu. No cóż, brakowało jedynie jakiejś żenująco melancholijnej piosenki w tle i księcia na białym rumaku, który – na kolanach – prosiłby mnie o przebaczenie.

Z zamyślenia wyrwały mnie dziwne dźwięki dochodzące z ogrodu. Szybkim ruchem podniosłam się z podłogi i mym sokolim wzrokiem starałam się odszukać źródło hałasu. Niestety niczego nie zauważyłam, więc lekko przestraszona postanowiłam wrócić do ciepłego wnętrza mojego domu. Nim jednak zdążyłam w ogóle dotknąć balkonowych drzwi, ktoś złapał mnie od tyłu i wielką dłonią zasłonił usta. Serce podeszło mi do gardła i

tam zaczęło bić dwa razy szybciej niż normalnie. Wierząc, że się i wierciłam, chcąc się uwolnić. Do oczu zaczęły napływać mi łzy i coraz ciężiej przychodziło mi oddychanie.

- *Spokojnie, spokojnie* – szeptał mi do ucha kojący, męski głos – *Puszczę cię, jeżeli obiecasz, że nie zaczniesz krzyczeć.* Nie miałam innego wyjścia, więc tylko pokiwałam głową. Mężczyzna rozluźnił uścisk i zabrał rękę z moich warg. Odwróciłam się w jego stronę i, gdy tylko go ujrzałam, cały strach czy też złość po prostu wyparowały.

- *Kim jesteś?* – zadałam pytanie dość łagodnym tonem. Nie mogłam być zła na kogoś tak nieziemsko przystojnego. Piękne, czarne włosy postawione na żel, jakże cudownie kontrastowały z głębią magicznych oczu. Nieogolony, dwudniowy zarost podkreślał kwadratową szczękę nieznajomego, a śnieżnobiałe uśmiech wręcz oślepiał swym niecodziennym blaskiem. Nagi, umięśniony tors mężczyzny przyozdabiała czarna, zwiewna peleryna kołysząca się w rytm powiewów wiatru, a elastyczne, obcisłe spodnie podkreślały umięśnione nogi mężczyzny.

- *Zwq mnie* – zaczął swym pojętnym głosem – *Tytanowa Pięcha!* – po wypowiedzeniu tych słów zarzucił pelerynę i oparł dłonie na biodrach. Sprawiał wrażenie dumnego i przesadnie pewnego siebie człowie-

ka. Nie lubiłam takich ludzi, ale jego bajeczny kędziorek zwisający tuż nad czołem robił wrażenie.

- *Pochodzę z planety Tytan i przybyłem ocalić wasz świat od zagłady! Niedawno, bo parę minut temu, przybył tu mój odwieczny wróg, Tytanowa Dłoń! Założę się, że tworzy już swoją armię! Musimy go powstrzymać!* – rzekł na tyle poważnie, że skłonna byłam uwierzyć w tę całą bajeczkę.

- *No to świetnie, ale co ja mam z tym wspólnego?* – zadałam pierwsze pytanie, jakie nasuwało mi się na myśl. Minuta ciszy. Dwie minuty ciszy. Zaraz, zaraz, czyżbym widziała zakłopotanie w jego malachitowych oczach?

- *To bardzo długa historia, którą opowiem ci kiedy indziej. Teraz nie ma czasu do stracenia! Ruszajmy!* – krzyknął, po czym wyciągnął rękę do góry jak prawdziwy Super Bohater. Nic się jednak nie stało, żadnego spektakularnego widoku. *Ruszajmy!* – powtórzył wyniosłym głosem. Znow nic. Tytanowa Pięcha spojrzał na mnie z agresją.

- *No co?* – zapytałam z wyrzutem.

- *Teraz powinnaś wskoczyć na me umięśnione barki* – odpowiedział ze swą subtelną skromnością i uniósł brew do góry. Poddana jego paranormalnemu urokowi wykonałam polecenie. Gdy

tylko to zrobiłam, ugięły się pod nim nogi, lecz dzielnie wciąż trzymał pion. Lekko speszona, z czerwonymi policzkami obiecałam sobie w duchu, że już nigdy nie będę podjadała bratu moich ulubionych czekolad. Zarzuciłam ręce na jego szyję i przytuliłam się do jego karku. Z wielkim wysiłkiem Tytanowa Piącha wzbił się w powietrze i gdy w końcu zmienił położenie z pionowego na poziome, z wciąż wyciągniętą do przodu ręką, wyznaczał drogę naszej podróży.

Dopiero gdy dryfowaliśmy tak w powietrzu, zdałam sobie sprawę z sensu zaistniałej sytuacji. Właśnie leciałam, nie wiem gdzie, nie wiem z kim, nie wiem po co. Sam fakt, że leciałam, był przecież czymś nienaturalnym. Ale zaraz, zaraz! – w głowie zaświtał mi cudowny pomysł. Puściłam na chwilę kark Tytanowej Piąchy i ściągnęłam gumkę z włosów. Teraz, czując wiatr, rozłożyłam ręce na boki i wzięłam głęboki oddech.

- *Tytanowo Piącho, ja latam!* – pełnym optymizmu głosem sparodiowałam jedną ze scen mojego ulubionego filmu. Zawsze chciałam to zrobić, a teraz nadarzyła się wspaniała okazja do spełnienia pragnień. Zostałam jeszcze chwilę w takiej pozie, by upajać się szczęściem, jakie mi dawała. W związku z tym, iż mój towarzysz nie zaczął śpiewać romantycznej pieśni „Come Josephine in my flying machine”, ze smutkiem powróciłam do

poprzedniej pozycji.

- *Za chwilę będziemy na miejscu!* – odparł z zadowoleniem czarnowłosy przystojniak, tak jakby nie zauważył, że właśnie spełniłam jedno ze swoich większych marzeń.

- *Skąd wiesz, gdzie lecieć?* – zapytałam pełna podziwu, również ignorując ten fakt.

- *My, Tytanowie, mamy GPS w głowie* – powiedział głosem pełnym pychy, co znowu wywołało u mnie niechęć. Nic nie odpowiedziałam. Tak jak przewidział Piącha, po paru minutach byliśmy już na miejscu, a przynajmniej tak mi się wydawało. Wylądowaliśmy na jakimś dużym pustym placu, naokoło którego rósł gęsty las. Widziałam, jak Piącha wyciera peleryną swoje spocone czoło i zarumieniłam się jeszcze bardziej. Wydawało mi się, że byłam jednym z najcięższych obiektów, jakie przetransportowywał w całym swoim życiu, co wcale nie poprawiało mi humoru. Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, towarzysz czule ujął moją twarz w swe silne dłonie. Czułam, że nogi robią mi się jak z waty, zupełnie tak jakbym się zakochała.

- *Sprawa jest poważniejsza niż ci się wydaje* – rzekł z grobową miną, przez co szybko zaprzestałam rozmyślać o nim jako o obiekcie moich westchnień. – *Za chwilę rozegra się walka na śmierć i życie, a więc musisz mi pomóc!* – gdy słyszałam tę powagę w jego głosie, powoli zaczęłam się bać. Niedawno poznany przybysz sięgnął do

swojej peleryny i wyjął z niej pistolet. Zrobiłam wielkie oczy.

- *Czy to...* – przełknęłam głośno ślinę, a gdy Tytanowy pokiwał głową, nie śmiałam nawet kończyć pytania. Naprawdę zaczęłam się bać, a serce powoli przemieszczało się w kierunku miejsca w którym było, gdy czarnowłosy na mnie napadł. - *Amunicji nie jest za dużo, więc strzelaj tylko wtedy, gdy będziesz pewna, że trafisz* – bez wątpienia skierował te słowa do mnie. I właśnie w tej chwili, gdy nie mogłam wyksztusić z siebie ani słowa, zadałam sobie pytanie: „Co ja tu robię?!”, a następnie, nie do końca świadomie, przejęłam broń. Nagle usłyszeliśmy hałas za naszymi plecami. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy go – Tytanową Dłoń!

Jeszcze przystojniejszy (choć wydawało by się to niemożliwe) od Tytanowej Piąchy, stał w lekkim rozkroku. Zmierzwione, blond włosy sterczały mu na wszystkie strony, a przepiękne brązowe oczy wpatrywały się wprost we mnie. Miał na sobie identyczną pelerynę jak Piącha, ale jego spodenki jeszcze bardziej eksponowały umięśnione nogi i pośladki (co również wydawało by się niemożliwe).

- *Nie wierzę, że jesteś sam, Dłoń!*  
- krzyknął Piącha – *No dalej, kogo zabrałeś?!*

- *Jak ty mnie dobrze znasz, przyjacielu!* – z nutą ironii odpowiedział przeciwnik. Atmosfera na placu powoli się zagęszczała –

*Staneszłentawie, wzywam cię!* – wykrzyknął niczym wojownik, a zza jego pleców wyszedł drobny, koślawy i chudy niczym anorektyk chłopiec w okularach.

- *Nazywam się Stanisław* – powiedział z wyrzutem a jedyne, co zdążyłam zauważyć, to to, że w dłoni trzymał identyczny pistolet jak ja. „A więc to jest ta jego „niezwyciężona” armia”? – pomyślałam z kpiną. Nastąpiła chwila ciszy. Staliśmy tak bez ruchu. Ja z Piąchą, a Stanisław z Dłonią. I co teraz? Czy jest możliwość, że ja zaraz umrę? Proszę, jestem na to za młoda! Mam przyjaciół, rodzinę, ambitne plany na przyszłość! Co z moimi marzeniami? Mam się poświęcić dla jakiejś Tytanowej Piąchy?!

- *Teraz ja zmierzę się z Dłonią, a ty ze Stanisławem. Nie zawieźdź mnie, proszę! Tu chodzi o miliony istnień na Tytanowej Planecie!* – powiedział Piącha szeptem. „Zrobię to!” – pomyślałam i właśnie wtedy wszystko się zaczęło.

Gdy tylko ruszyliśmy do walki, czas jak gdyby spowolnił. Teraz czułam się jak w prawdziwym filmie akcji i gdy tylko dobiegłam do Stanisława, który był moim celem, przyłożyłam mu broń do twarzy. On nie wykazywał się inicjatywą walki, tylko spokojnie czekał na to, aż go zabiję. Idiota! Nie byłam w stanie pociągnąć za spust! Widok krwi, sumienie, Stanisław! Nie mogłam zabić niewinnego człowieka! Nie wiem, co Tytanowa Piącha sobie myślał? Że podejdę do

biednego anorektyka i po prostu pozbawię go życia? - *Strzelaj!* – usłyszałam znany mi głos towarzysza i, mając przed oczyma jego twarz, wmawiałam sobie, że robię to dla tych milionów istnień z innej planety. „No dalej!” – pomyślałam i w końcu zrobiłam to. Pociągnęłam za spust, lecz zamiast zabójczego pocisku z lufy pistoletu poleciała zwykła woda. Zdziwiona, pociągnęłam za spust jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, bombardując wodnymi pociskami kulącego się z bólu Staśka. Z uśmiechem i zadowoleniem nie przestawałam strzelać. Odwróciłam głowę w stronę walczących Tytanów, a ci, trzymając w rękach piankowe miecze, zacięcie walczyli na śmierć i życie. Wszystko działo się tak szybko, jak gdyby niedawne spowolnienie czasowe chciało nadrobić stracone minuty. Nie pamiętam już nic oprócz tego, że widziałam, jak Piącha, powalony przez przeciwnika na podłogę, patrzył w moją stronę. Widziałam osamotnioną łzę spływającą po jego bladym policzku i piankowy miecz wbijający się w jego nagą pierś. Nie potrafiłam stłumić krzyku.

Złana potem obudziłam się z koszmarного snu. Szybkim ruchem dłoni odszukałam leżącą obok lampkę i zapaliłam ją, pociągnawszy za sznurek. Zgniłozielony abażur nadał mojemu pokojowi ciemnozieloną poświatę a ja, wciąż siedząc, starałam się opanować zarówno oddech, jak i natłok myśli w

mojej głowie. Nie wiedziałam, co się dzieje. Spojrzałam na zegarek, była druga w nocy. Po chwili, gdy udało mi się opanować emocje, odetchnęłam i ponownie położyłam się spać.

Karina Stawiarska



## Płaszcz i okulary

### Rozdział V

Pojrzał na szybę i zobaczył linę od platformy, na której robotnicy myją okna. Bez zastanowienia skoczył na nią i zjechał w dół. Był tam młody chłopak, miał może z siedemnaście lat. Gdy zobaczył faceta z zakrwawioną twarzą i ubraniem, mierzącego metr dwieście dziesięć i z umięśnioną łapą, który powiedział do niego: *Siema, dobrze się bawisz?*, zdołał tylko wykrztusić: - *Yyy... Emmm...* - *No dobra, to inaczej* - znowu spróbował Vinc - *Widzisz tamtych gości na górze. No więc próbują mnie złapać a ja, jak się zapewne domyśliłeś, próbuję uciec. Więc jeśli już narobiłeś w gacie ze strachu, to proszę bujnij się i opuść tę platformę, bo zostawiłem rzeczy w środku.* - *Nnno ddddobrze.* Chłopak kliknął jakiś guzik i zaczęli powoli zjeżdżać w dół. Vinc puknął go w ramię, aby zatrzymał platformę. Podszedł do okna i uderzył w nie prawą ręką. Szkło prysło we wszystkie strony. Gdy Vinc przechodził przez barierkę, chłopak powiedział: *-Pana rzeczy powinny być piętro niżej.* Spojrzał na niego: - *Dzięki młody. Jesteś całkiem spoko koleś.*

I poszedł przed siebie. Idąc przez korytarz, wszedł do jednego z gabinetów. Nie wiedział, po co to robi, ale coś mu mówiło, że za nimi jest coś, co może mu się przydać. W środku nikt nie było. Stało tam tylko biurko, doniczka z kwiatem i obraz wiszący na ścianie za biurkiem. Podszedł do biurka i nie musiał długo się rozglądać, żeby zobaczyć leżące na nim nożyczki. Wziął je bez głębszego zastanowienia i wyszedł z gabinetu, by znaleźć swoje rzeczy. Na schodach stało dwóch strażników. Nagle poczuł dziwną żądzę zabijania. Ryknął i rzucił się na nich dwóch. Gdy pierwszy się odwrócił, Vinc zamachnął się i rzucił nożyczkami w jego twarz. Drugi przez moment był w szoku, co Vinc wykorzystał, chwytając go za twarz i powalając na podłogę. Wyjął mu pistolet z kabury u boku i uderzył go trzy razy w twarz kolbą pistoletu, po czym strzelił w sam środek. Mózg nie wypływał przez otwór w głowie, on wyleciał razem z kawałkami czaszki przez wielki otwór, ochlapując wszystko wokół. Leżący obok mężczyzna stękał z bólu. Vinc przeładował pistolet i strzelił mu prosto w mo-

stek. W tym momencie poczuł jakąś chorą przyjemność z tego, co zrobił. Przez pięć sekund stał w szoku, nie wiedząc, co się przed chwilą z nim działo. W końcu otrząsnął się i ruszył dalej. Za pierwszymi drzwiami, do jakich wszedł, znalazł to, czego szukał. Czym prędzej założył płaszcz, chustę i okulary. Wziął cały swój arsenał. Teraz poczuł się pewniej. Podszedł do okna i spojrzał w dół. Stał tam kontener na śmieci i kilka kartonów. Pomyślał przez chwilę, co dalej i doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli skoczy, więc wyszedł przez okno i stanął na parapecie. Nie było tak wysoko jak myślał. Wziął głęboki oddech i skoczył. Na dole strasznie śmierdziało, więc czym prędzej wyszedł z kontenera i zaczął iść w kierunku baru, który wiele razy w dzieciństwie omijał. Nie wiedział, co go tam spotka...

### Rozdział VI

Wszedł do baru i od razu ruszył do łazienki. Stał przy umywalce i spojrzał w brudne zbite z dołu lustro i zdjął chustę. Cały był we krwi i mózgu. Odkręcił kran i umył twarz. Wytarł ją o chustę, którą schował do

kieszeni. Podeszedł do kontuaru, za którym stał facet mniej więcej koło czterdziestki o imieniu Sanchez. Sanchez miał lekką nadwagę i był właścicielem tego baru. Vinc powiedział:

- Whisky z lodem.
- A może jakieś magiczne słowo? He?
- Weź mnie nie wkurzaj, i tak mam skopany cały dzień.
- No dobra.

Sanchez wyjął zza kontuaru szklankę, butelkę z Whisky i zapełnił nią całą szklankę. Podsunął ją Vincowi i powiedział:

- Proszę bardzo.
- Miała być z lodem...
- Jaja se ze mnie chłoptasiu robisz? Jakbyś raczył zauważyć, to na zewnątrz jest ze czterdzieści stopni! Pij albo spieprzaj z mojego baru!
- No dobra, nie unoś się.

Vinc wziął szklankę i wypił ją jednym haustem. Przesiedział przy kontuarze, sam na sam z własnymi myślami, do dziesiątej wieczorem. Szklanka była już pusta, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Nagle podeszedł do niego facet, który był znany jako Jefe Gnida. Niebezpieczny gość, z którym nawet niektóre wilkołaki bały się zadzierać a w szczegól-

ności Sanchez. Jefe podeszedł do Vinca i zdjął mu okulary, mówiąc:

- Hej młody, co cię przywlokło do naszego baru? Masz jakiś interes?

- Nie szukam kłopotów.
- Ha! Kłopoty to ja i coś mi się widzi, że właśnie mnie znalazłeś.

Vinc nie zareagował, tylko wziął szklankę i obejrzał ją dokładnie.

- Chcę wiedzieć, co tu robisz! - warknął Jefe - Podobno ktoś dzisiaj załatwił sporo gości w jednym z wieżowców w centrum. Uważa się za twardziela. Może ty się uważasz za twardziela? Co?

- Nie jestem twardzielem.
- No to zwijaj dupę i spadaj stąd.

Vinc przez chwilę zastanawiał się nad propozycją oprycha, po czym powiedział:

- Znam tego obcego, o którym mówisz. I wiem, dlaczego to zrobił. Odczepisz się, to ci wszystko powiem.

Jefe obejrzał się na kibicującą mu widownię. Ze dwudziestu stałych bywalców obserwowało rozwój wypadków.

- I co wy na to chłopaki? Posłuchamy, co ten piękniś ma

do powiedzenia?

Odpowiedzieli mu potakująco, postukując szklankami o stół.

- No to mów, piękniś. Powiedz, dlaczego on to zrobił.

- Wieczorem siedziałem w barze z kilometr od centrum, kiedy wredny facet wszedł, usiadł przy ladzie i zamówił drinka.

- Jak wyglądał?

- Eee, z początku nie było dobrze widać jego twarzy, bo miał duże przeciwsłoneczne okulary. Ale potem jakiś gnojek podeszedł do niego i mu je zdjął.

Jefe przestał się uśmiechać. Myśląc, że nowy się z niego nabija, nachylił się i ścisnął mu ramię.

- No i co mały, gadaj, co było dalej - mówił to głosem, który nie wróżył nic dobrego.

- No więc ten obcy, nawiasem mówiąc całkiem przystojny, wychylił szklankę jednym haustem, wyciągnął gnata i wystrzelał wszystkich kutasów w tym barze... z wyjątkiem mnie i barmana.

-Noo! Rozumiem, dlaczego nie zabił barmana, ale dlaczego ciebie nie zastrzelił?

- Chcesz wiedzieć?

- Jakbyś zgadł. Dlaczego ten taki owaki syn cię nie za-

strzelili?

- Ba! Chciał, żebym przyszedł do tej mordowni i znalazł tępego tłuszciocha Jefe.

- Ja jestem Jefe. A ty kto jesteś do cholery?!

- To nie ma znaczenia.

- To ma znaczenie! I to duże! Bo chodzą słuchy, że ten facio nazywa się Vinc Kid\*.

- Wiesz dlaczego Vinc Kid?

- Jasne, podobno jak był młody, to napił się whisky i załatwił kilkunastu gości. Całkiem odbija mu palma i jest niezwykczony.

- Zgadza się, wykańcza każdego. Starczy jedna szklaneczka i odbija mu tak, że klękajcie narody. Zabija wszystkich debili, jacy mu się nawiną. Widziałem to na własne oczy.

- Sanchez, nalej mu jeszcze.

- Pij! – wrzasnął Jefe

Vinc wziął szklankę i wypił ją. Trzy sekundy później szklanka była pusta, i nic.

- No i jak? Jesteś Vinc Kid?

- To, że wypilem te szczynty, dowodzi tylko tego, że potrafię wypić szczynty i nie porzygać się.

-Nalaleś z butelki do odlewania się?

- Nie spodobał mi się.

- Wypileś nasze szczynty! Ha ha ha!

Wszyscy w barze wybuchnęli śmiechem.

- Nalej mi whisky – jego głos chrząścił jak żwir.

- Trzy dolary.

- Dawaj whisky!

- OK. Spoko. Ta i poprzędnia na koszt firmy.

- A widzisz, żebym sięgał po forszę?!

Zapadła cisza. Vinc wypił całą szklankę whisky i cicho westchnął. Widać było, że jest wkurzony. Wszyscy zamarli. Powie coś czy nie? Nie musieli długo czekać. Wstał, wyjął pistolety. Wszyscy zaczęli pchać się do drzwi, niestety nie zdążyli. Vinc Kid już jest w tym barze i właśnie się napił whisky po raz pierwszy od wielu lat.

\*To się zdarzyło, gdy Vinc był młody – napił się whisky przed wyjściem na miasto, nagle ogarnęła go furia i zabił troje ludzi.

*Filip Biesalski*

Zachęcamy Was do dzielenia się z nami Waszymi uwagami, spostrzeżeniami – możecie zrobić to albo tutaj, albo napisać na adres: [henrynews@wp.pl](mailto:henrynews@wp.pl). Zapraszamy również do przyłączenia się do Redakcji.



Mateusz Jaromin



**Autorzy tego numeru**  
(wg kolejności alfabetycznej)

**Skład/grafika:**

K. Konstantinow

**Redakcja:**

A. Balcerzak

F. Biesalski

D. Brudzyński

P. Boruta

K. Fijałski

D. Gołębiowski

K. Konstantinow

M. Kornatowski

E. Kozłowska

J. Kruszyńska

Ł. Magnuszewski

M. Markiewicz

W. Niemirska

J. Nowak

L. Raczkowska

A. Romanowska

A. Sienkiewicz

K. Stawiarska

J. Stolpa

M. Tomaka

B. Więckowski

E. Wolska

Sz. Zwierew

**Opieka merytoryczna:**

M. Domańska

B. Dzitowska



**Autorzy tego numeru**  
(wg kolejności alfabetycznej)

**Skład/grafika:**

K. Konstantinow

**Redakcja:**

Ł. Białorucka

E. Kleniewska

K. Konstantinow

M. Kornatowski

A. Magnuszewski

M. Markiewicz

A. Pałac

M. Polska

K. Przybyszewski

P. Radomska

R. Szymański

Sz. Zwierew

**Opieka merytoryczna:**

M. Domańska

B. Dzitowska